№ 34 Warszawa, dnia 14 (26) Sierpnia 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

NOWE POLE PRACY DLA KOBIET.

Ktokolwiek spojrzy na stosunki ekonomiczne chłodno i z rozwagą, chociażby nigdy nie miał w ręku dzieł ekonomicznych, ten zgodzi się najzupełniej na zasadniczą myśl, że bogactwo kraju nie zależy wcale od nagromadzenia olbrzymich kapitałów i znacznej ilości fabryk — lecz jedynie od równomiernego podziału produkcyjnej pracy na wszystkie jednostki, tworzące ludność danego kraju.

Nie ma tedy potrzeby wysyłać tęsknych westchnień w czasy przeszłości, gdy tacy jak Radziwiłłowie, Potoccy, Sieniawscy i t. d. byli posiadaczami fortun milionowych i błyszczeli dostatkami nieprzebranemi — gdyż obok pałacu, były dwory i dworki zapełnione rezydentami, których najgłówniejszą pracą było bawienie jaśnie wielmożnych i oświeconych. Obok pysznych zamków, pełnych złota i błyskotek rozpościerała się nędza, której chleba brakło na przedłużenie mizernego życia.

Stopniowe podniesienie się klas niższych, osiągnięcie względnego dobrobytu nastało z chwilą, gdy owe słońca fortunnych jednostek rozbiły się na drobne światełka, rozświecające i wydzielające dobroczynne promienie w mieszkaniach warstw średnich i w chatach wieśniaczych.

Dziś owe klasy mieszczańskie i ludowe podniosły się znacznie tak pod względem moralnym jak i materyalnym, lecz jakżeż im daleko chociażby do ideału Henryka IV, by każdy miał w niedzielę kurę na obiad!

Jeśli z jednej strony wzrost dobrobytu przypisać należy rozstrzeleniu się kapitałów i majątków, to jednak najpierwszą, podstawową przyczyną jest i będzie — praca.

Ona jedna uszlachetnia i uzacnia tak jednostkę, jak i społeczeństwo, ona daje niezależność i poczucie własnej godności, chroni od upadku i podnosi charakter. Obok tych doniosłych a nieocenionych moralnych następstw, jedynie drobna a nieustająca praca wraz z oszczędnością stanowi istotne źródło bogactwa materyalnego całego kraju.

Usuwanie się zatem jednostki od pracy organicznej, produkcyjnej, przynosi podwójną niekorzyść, najpierw szkodzi jednostce i czyni ją ciężarem a pasożytem, następnie cały kraj traci pewną ilość siły, która w przeciwnym razie przyczynia się do podniesienia dobrobytu.

Zapatrując się w ten sposób na działalność jednostek w społeczeństwie, nic dziwnego, że stajemy się najgorliwszymi zwolennikami pracy kobiet, która u nas jest niestety po dziś dzień dopiero w zawiązku. Przypatrzmy się bowiem pracy kobiet. Możemy ją podzielić na dwa główne działy na artystyczną i praktyczną. Do pierwszego działu wliczamy artystki z teatru wogóle a więc, dramat, opera i balet, następnie koncertantki, malarki, rzeźbiarki i literatki. Dział praktyczny obejmuje nauczycielki, wszelkiego rodzaju rzemiosła i zawody specyalne, jak buchalterki i telegrafistki, wreszcie praca kobiet fabryczna i po zakładach.

Że wynagrodzenie pracy kobiet jest niższe, aniżeli mężczyzn, to rzecz wiadoma, której przyczynę raczej w braku systematycznego wykształcenia, aniżeli w różnicy sił fizycznych, raczej w szczupłym zakresie pola i zbytniej konkurencyi, aniżeli w niechęci mężczyzn i obawach o zmniejszenie wynagrodzenia upatrywać należy.

Ażeby praca miała odbyt, stała się produkcyjną, to nie dość dobrych chęci, nie wystarczą usiłowania chociażby z ofiarą połączone — potrzeba przedewszystkiem nauki i praktyki.

Ileżto przykładów możnaby z samej Warszawy naliczyć, że kobiety rozpoczynały fachowe przedsiębiorstwa, pracowały wytrwale, były ożywione najlepszemi chęciami i w końcu zmarnowały i czas i kapitał, gdyż prawie zawsze brakowało im należytego specyalnego wykształcenia.

Dzieje tych usiłowań nie powinny minąć bez korzyści dla przyszłych szermierzy, tu nie pomogą utarte frazesa o nieudolności kobiet lub o niechęci mężczyzn i niemożliwości konkurencyi — nieustanną pracą, krok za krokiem zdobędzie się pozycya po pozycyi, aż wreszcie dojdziemy do upragnionej równowagi stanu pracy mężczyzn i kobiet.

Zachęcając kobiety do pracy produkcyjnej, stajemy wprawdzie w opozycyi z istniejącym systemem wychowania, skierowanem głównie na t. z. salonowe zalety, a mającem ostateczny cel zamążpójście — mimo tej opozycyi, wyznajemy otwarcie, że dla kobiet powołanie żony i matki zostanie zawsze najszczytniejszem, ale cóż mają robić kobiety bez rodzinnego ogniska, osierocone śmiercią męża, a wreszcie czyż nie można zamążpójście pogodzić z pracą?

Poruszyliśmy tutaj mnóstwo kwestyi mimochodem, z których każda zasługuje na bliższe poznanie i rozbiór, lecz w niniejszym artykule mamy zamiar podnieść tylko owo „nowe pole pracy dla kobiet", którem jest „pszczelnictwo".

Dział ten gospodarstwa zostaje u nas prawie w zupełnem zaniedbaniu, a jeśli się gdzie prowadzi, to li na podstawie tradycyi i samouctwa, co przy zmienionych warunkach gospodarskich i ekonomicznych, staje się przyczyną bardzo słabego procentowania włożonego w pszczelnictwo kapitału i czasu.

To też dawniejsza sława naszego kraju, który wosk wywoził po za granice państwa, sycił przesławne miody, a szczycił się pszczołami rojnemi, prawie znikła.

Dziś lasy wycięte i zniszczone, o których młodszej generacyi mówi już tylko tradycya, kwietne lipy giną, ustępując miejsca szybko rosnącemu miękiemu drzewu, znaczne bardzo przestrzenie gruntów poszły pod uprawę roślin niebardzo nadających się pszczołom do zbierania miodu — wreszcie brak racyonalnego kierownictwa tym działem gospodarstwa — oto byłyby najważniejsze przyczyny zastoju i upadku pszczelnictwa. A jednak nasz kraj przeważnie rolniczy nadaje się najzupełniej na hodowlę pszczół i osiągnięcie miodu i wosku nietylko na nasze własne potrzeby, lecz jako przedmiotów wywozowych.

Tą myślą powodowany zacny p. K. Lewicki, nie szczędził trudów, starań i przeszło dwudziestoletniej pracy, aby pszczelnictwo wprowadzić na drogę postępu, ulepszyć ule, wskazać potrzebę i środki prowadzące do racyonalnego gospodarstwa pszczelnego.

W tym celu założył p. Lewicki praktyczne polskie muzeum pszczelnicze w Warszawie przy ulicy Koszyki Nr. 1. Jest to pierwsze i jedyne muzeum w świecie, poświęcone tej gałęzi gospodarstwa, a zostało otwarte do użytku publicznego d. 27 czerwca 1882 r. Zacny założyciel tego przybytku racyonalnego pszczelnictwa pisze:

„Od lat dwudziestu kilku zajmując się pszczelnictwem, wypróbowałem ule różnych systemów i różne metody wyzyskiwania miodu. Zastanawiając się nad ich zaletami i niedogodnościami, starałem się pierwsze połączyć w jedną zgodną całość, drugie — ile możności usunąć. Rezultatem moich usiłowań jest ul *stojakoleżak*, zastosowany do metody wyzyskiwania miodu i wosku za pomocą odgradzania matek, oraz — odpowiednie przybory pszczelarskie. Nie ufając sobie samemu, poddałem wnioski, do których doszedłem, pod sąd znawców i specyalistów. Ich to zachęty i pochwały skłoniły mnie do wydania przewodnika, w którym metodę przeze mnie używaną, starałem się wyłożyć jak najprościej i najkróciej. Jeżeli się przez to przyczynię do rozwoju racyonalnego pszczelnictwa w kraju, będę za swą pracę wynagrodzony sowicie."

Nie możemy tu rozbierać szczegółowo książki poświęconej specyalnie pszczelnictwu, która wyszła w r. b. w Warszawie p. t. „Pszczelnictwo". Zbiór wiadomości o życiu i przyrodzie pszczół do potrzeby pszczelarzy zastosowany, oraz przewodnik racyonalnego prowadzenia pasieki w ulach ramowych systemu K. Lewickiego, z 36-ma drzeworytami w tekście, 8-ka str. 137.—Powyżej zacytowany ustęp wzięliśmy z tegoż dzieła, które przez specyalistów i krytykę zostało nader życzliwie przyjęte.

Obok muzeum, mamy tam praktyczną i teoretyczną naukę pszczelnictwa, wykładaną systematycznie w odczytach. W tym tedy muzeum znajdą ci, którzyby pragnęli nabyć naukę pszczelnictwa pomoc i radę, a że ona będzie skuteczną i korzystną, mamy rękojmię nietylko w nazwisku twórcy muzeum, lecz już w ujawnionych skutkach. Oto przed niedawnym czasem, jedna z gazet prowincyonalnych a za nią warszawskie doniosły, że uczennica p. Lewickiego założyła u siebie pasiekę, która już dziś znaczne dochody przynosi.

Fakt ten powinien zostać przykładem dla tych pań, którym warunki pozwalają na prowadzenie pszczelnictwa a tem samem przyczynienia się do podniesienia tej gałęzi gospodarstwa i dobrobytu kraju.

Otóż jesteśmy u podstawy naszego artykułu, wskazując tym paniom, które przebywając na wsi, mają nietylko sposobność, lecz zarazem obowiązek oddania się produkcyjnej pracy.

Wysłuchanie krótkotrwałego kursu odczytowego, zapoznanie się praktyczne z racyonalnem pszczelnictwem umożliwi i ułatwi pracę na tem nowem polu, które bardziej nadaje się do zatrudnienia kobiecego, aniżeli gospodarstwo rolne.

Ileż to pań i panien z prowincyi przebywa po kilka miesięcy w Warszawie, uzupełniając „salonowe" wychowanie grą na fortepianie, śpiewem, konwersacyą i t. d., czyż poświęcenie kilkunastu godzin pszczelnictwu zrobiłoby im tak wielką różnicę? A gdy się rozpatrzymy w następstwach, o ileż one będą korzystniejsze, aniżeli wymęczone sonaty lub parlowanie czystym akcentem.

Nie wątpimy, że panie nasze, tak chętne do wszystkiego co pożyteczne i dobre, raczą wziąć pod uwagę tych kilka słów a pszczelnictwo zakwitnie jak ongi w naszym kraju.

Nie ulega również wątpliwości, że wykwalifikowane uczenice muzeum pszczelniczego znalazłyby korzystne warunki przyjęcia w znaczniejszych majątkach ziemskich.

Kobietom otwiera się zatem nowe pole pracy i zatrudnienia, a tylko od dobrej ich woli i wytrwałości zależy ujęcie w swe ręce tej gałęzi gospodarstwa. Czy i o ile spełnią to — przyszłość pokaże.

A Gruszecki.

Ah jakżeśmy smutni!

Dawno, zbyt pono dawno nie dotknąłem lutni,
Myśl ma dziwnie uboga, bo z żywota cieśni,
Trudno wysnuć temata i zakląć je w pieśni,
Więc milczym szepcząc w duchu:
Ah! jakżeśmy smutni!

W gronie rodzin miłością brzmią słowa matczyne,
Wydają się być pieśnią wygraną na lutni,
My dalecy od swoich kochając rodzinę,
Tęsknięmy mówiąc ścicha.
Ah! jakżeśmy smutni!

Na pustej drodze życia, gdy przypomnim sobie,
Że i nam biły serca, dziś duchem pokutni,
Pozdrawiamy przyjaciół śpiących w zimnym grobie,
I mówimy do zmarłych:
Ah! jakżeśmy smutni!

Wiosna! wiosna! wołają ludzie szczęsnej doli,
W obietnicach tej przyszłej bywają rozrzutni,
Nam na wspomnienie wiosny dziwnie serce boli,
Żegnać przyjdzie kochanych:
Ah! jakżeśmy smutni!

Przed oknem jak fale płyną dni i lata,
Unosząc z sobą wszystko czem ludzie są butni,
My ustępując z drogi dla młodszego świata,
Życzymy im serdecznie:
Ah! nie bądźcie smutni!

Lutnista.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Mirski odjechał już oddawna na swoje Polesie, — hrabianka Nina mówiła nam o nim bardzo wiele, tęskniła po jego odjeździe jak za synem i wspominała co chwila pośród zabawy, swego pracownika poważnego, siedzącego tam samotnie pośród ośroniałych i śniegiem zawianych puszcz i ostępów.

Skrzyński od czasu pierwszej wizyty, przyjeżdżał kilka razy to sam, to z Budzyńskim. Nie tajno mi było, że piękność, a może więcej jeszcze oryginalność naszej Ukrainki, zrobiła na malarzu żywe bardzo wrażenie. Patrzał na nią jak na dawno szukany, odnaleziony wreszcie ideał snów swoich i widziałem ogniste oczy jego śledzące uparcie i z zachwytem każdy ruch tego młodziutkiego pączka, który z dniem każdym wyrabiał nam się i rozwijał w coraz piękniejszy kwiat, pełen barw i uroków. Czy nasze ukochane dziewczę widziało to gorące dla siebie uwielbienie w oczach artysty? trudno mi było wówczas przeniknąć. Była z nim swobodna jak z każdym, witała go zawsze wesoło i radośnie, bo bawił ją dowcipem swym wykwintnym i rozumnym zarazem, poprawiał jej rysunki i doświadczonemi radami rozwijał niepospolity talent dziewczęcia, przedewszystkiem zaś opowiadał jej o ukochanej Ukrainie, śpiewał jej tęskne dumki, grał hulaszcze szumki i jak mówiła sama: przywoził zawsze z sobą jakąś cząsteczkę jej rodzinnej ziemi. Wyjątkowych jakichś względów, jak dotąd dopatrzeć się nie mogłem.

Tzeba też przyznać, że Eugeniusz umiał się brać z taktem i znajomością wszelkich wymagań salonowych — dowcipem swym i niespożytym nigdy humorem potrafił podbić sobie całe nasze kółko domowe, zacząwszy od młodych a skończywszy na księdzu Osowickim, któremu zawsze tysiące dykteryjek zabawnych miał do opowiadania, i Jenerałowej, która z początku zarzucając mu nieco blagi i pozy, póżniej przyznała, że młody artysta posiada humor niezmiernie miły, który zawsze i wszędzie pożądanym być może w towarzystwie — i witała go zawsze bardzo życzliwie i łaskawie. Uwielbienia swego dla Kseni nie okazywał żadnemi pospolitemi komplementami i wyjątkowem nadskakiwaniem. Grzeczny był dla obu panien jednakowo i można było powiedzieć, że tak do nauczycielki, jak uczenicy bierze się równo. Czasem tylko przy zdarzonej sposobności, rzucił jej jakieś słówko pełne znaczenia, uczucia, czaru... Czasem tylko gdy nikt nie patrzył na nich, obejmował jej postać płomienistem, pełnem magnety-

cznej siły spojrzeniem, albo śpiewając jaką tęskną dumkę ruską, której najczęściej nikt prócz mnie nie rozumiał, kończył ją westchnieniem cichem, głębokiem, niby ukrytem a zastosowanem zawsze tak zręcznie, że nie chybiając celu, trafiało zawsze do ucha mojej faworytki, która trzymana jakby czarodziejską siłą, znajdowała się zawsze nieopodal fortepianu.

Z całego domu ja tylko jeden nie spuszczając oka z artysty i śledząc bardzo bacznie wysoko strategiczną jego taktykę, widziałem tę grę tajemną, rozgrywającą się pomiędzy dwojgiem młodych ludzi cicho, niepostrzeżenie, ukrywaną z jego strony jak najstaranniej przed okiem obcem, pod pokrywką humoru, żartu i zwykłej zabawy. Widząc dobrze tę złotą, czarowną siatkę, którą artysta mistrzowsko nawięzywał z poezyi, westchnień, bezdennych spojrzeń i melodyi ukraińskich, na usidlenie mojej fantastycznej i swobodnej jak ptaszę w polu faworytki, zaniepokoiłem się mocno i zwróciłem na to niebezpieczeństwo uwagę Jenerałowej. Moja stara przyjaciółka roześmiała się serdecznie, gdym jej obawy moje i troski wszystkie przedłożył.

— Co ci się dzieje panie Sewerynie? — odrzekła żartobliwie. — Gdyby nie ten szron na głowie i głębokie bruzdy na czole, posądziłabym cię, że kochasz się w tem dziecku. Wszędzie widzisz dla niej niebezpieczeństwo i wszystkiego się lękasz dla niej! Czyż ten malarz może być niebezpiecznym? To taki dobry, wesoły chłopiec! U nas tu od pewnego czasu tak wesoło, że nie dziwię się wcale, że się tu bawi i bywa. Żadnych grzeczności nadzwyczajnych dla Kseni nie widzę wcale i musisz przyznać, że jeśli bierze się do naszych dziewcząt, to chyba do obu razem!

Nie uspokoiło mnie to bynajmniej, nie mogłem w żaden sposób przekonać się do Eugeniusza. Czułem do niego niechęć niczem niewytłomaczoną, której pokonać nie mogłem, pomimo że młody człowiek widząc złe moje usposobienie dla siebie, starał się rozbroić mnie wszelkiemi sposobami i pozyskać moją życzliwość. Może być, że nie mogłem mu darować tego dziwnego wyrazu, błądzącego około ust i lekko rozpołowionej czarnej brody, który przejmował mnie zawsze uczuciem pewnego wstrętu.

Pragnąc raz odkryć karty i dowiedzieć się czegoś na pewne, zapytałem dnia pewnego Ksenię, czy spostrzegła tę nieharmonią w twarzy Eugeniusza?

— Spostrzegłam tylko, że jest to pierwsza twarz męzka, która może zainteresować — odparła mi układając w palcach piękną wiązkę złocistego owsa i przymierzając ją do sukni.

Po raz pierwszy w życiu rozgniewałem się na nią za tę odpowiedź. Powiedziałem jej, że jest nieodrodną córką swego rodu, ktory zawsze gotów jest dopatrzyć czegoś zajmującego tam właśnie, gdzie nie ma nic!

Oparła obie rączki na moich ramionach i spojrzała mi w oczy badawczo.

— Co ci jest?—rzekła z uśmiechem. — Uprzedziłeś się najniesłuszniej do człowieka, który ci nie zrobił nic, dlatego tylko chyba, że posiada brodę czarną, podczas gdy ty wolałbyś może jasne bakobrody!

— Otóżto — odparłem dosyć cierpko — że panie widzicie zawsze tylko wąsy i bakobrody, po za to nie wglądając w nic!

— Cóż więc dojrzałeś po za brodą Eugeniusza, ty mój nudny, nieznośny staruszku?

— Próżnię, zdaje mi się! — odparłem.

Dziewczyna z niezadowoleniem zsunęła rączki z mych ramion i odwróciwszy się poczęła wpinać wiązanki owsa pomiędzy zwoje białej gazy.

— To szczęście, że się to tylko panu zdaje — rzekła mi trochę złośliwie.

Zaszedłem z drugiej strony wiszącej sukni i spojrzałem na nią uważnie. Miała oczy spuszczone i długie ciemne rzęsy rzucały cień na twarzyczkę jej cudną, słoneczną, zasępioną teraz lekką chmurką niezadowolenia.

Wyszedłszy od niej smutny i zły niemal, udałem się prosto na podwórze, chodziłem po gospodarstwie, napróżno starając się zatrzeć w umyśle przykre wrażenie i skutkiem tego powiedziałem ostre kazanie poczciwemu rządzcy Zawackiemu za to, że zastałem śpichlerz otwarty podczas gdy on znajdował się na drugim końcu podwórza, a Jankowi nakręciłem uszu za nie dość staranne wyczyszczenie mego ulubionego siwoszka. Nie rozchmurzyło to jednak mego czoła i powróciłem po dwóch godzinach włóczęgi, jeszcze w gorszym humorze jak wyszedłem.

W wigilią balu po obiedzie wpadła do nas jeszcze hrabianka Nina. Chciała być obecną przy ostatnich wieczorowych przygotowaniach i przywiozła w karecie dwa krzaki białych kamelii, sądząc, że przydać się mogą na jutro do toalet naszych panien. Nie zdejmując wcale futra, prosto z karety pobiegła natychmiast do Jenerałowej, która właśnie była na górze, gdzie ogrzewano salę balową i ustawiano w piękne grupy doniczki z oranżeryi.

Obie staruszki tak były zajęte temi przygotowaniami, że nie ukazały nam się jak dopiero około godziny piątej, kiedy już szarzeć poczęło i zadzwoniono na podwieczorek.

Właśnie zebraliśmy się w jadalnej sali i zasiadając do kawy, słuchaliśmy opowiadania hrabianki Niny o kostiumach jej siostrzenic, z których jedna przebrana być miała za jaskółkę a druga za lekkiego, różnobarwnego motyla, kiedy najpierw daleko na szosie, potem bliżej za ogrodem a w końcu tuż już w bramie zadźwiękła wesoła, przeciągła trąbka pocztowa i równo z tym dźwiękiem ujrzeliśmy wpadające tęgim kłusem pocztowe sanie, a w nich mężczyznę w niedźwiedziej szubie i siwej baraniej czapce nasuniętej mocno na czoło. Jeszcze drobne ale żwawe bułanki pocztowe, nie zdążyły wbiedz na taras, gdy hrabianka Nina z głośnym krzykiem zerwała się od stołu i wybiegła pędem po za drzwi wiodące do przedpokoju. W niemem osłupieniu patrzeliśmy wszyscy na przewrócony garnuszek i pomaczane sucharki, i po chwili dopiero, machinalnie i nie zdając sobie sprawy z postępku hrabianki, powstałem i udałem się za nią do przedpokoju, prowadzącego do wielkiej sieni, gdzie dopiero znalazłem ją w objęciach nowoprzybyłego mężczyzny i obsypującą go tysiącem pocałunków.

Przy wyjątkowym balowym ruchu i nieładzie, służba spóźniła się dnia tego z oświetleniem wschodów i przedpokoju, tak, że wśród dosyć grubych cieni zalegających sienie, nie mogłem na razie poznać kogo stara panna wita tak gorąco i czule.

Dopiero usłyszawszy głos nizki, sympatyczny, poznałem, że to był Mirski, z uczuciem też serdecznego zadowolenia zbliżyłem się powitać tego gościa najmniej dziś spodziewanego, a tak miłego i pożądanego dla nas wszystkich.

— Nie mogłem przejechać mimo państwa domu, aby nie wstąpić i nie zajrzeć tu choć na chwileczkę — rzekł Stefan do mnie, kiedy nareszcie hrabianka Nina uwolniła go ze swych objęć.

— I oto bogowie wynagrodzili panu tę pamięć sąsiedzką, bo nie spodziewałeś się zapewne spotkać tu swą ciotkę? — odparłem uprowadzając go za hrabianką ku pokojom.

W tej chwili nadbiegła służba ze światłem i na raz oświetlono jasno sienie i wschody, przybrane wspaniale kobiercami, wielkiemi pomarańczowemi drzewami i niezliczoną masą mlecznobiałych lamp, mających jutro zabłysnąć jasnemi festonami niby nanizanych na jeden sznur świateł.

Mirski zatrzymał się nagle.

— Cóż tu u państwa tak świetnie? — zapytał.

— Alboż nie słyszałeś nic w drodze o naszym jutrzejszym balu?

— Ach, więc to tylko! — rzekł z uśmiechem zrzucając futro na ręce służącego.

— Bawimy się tu na zabój! — odparłem prowadząc tryumfalnie naszego gościa na salę.

Jenerałowa ujrzawszy Mirskiego, zerwała się żywo z siedzenia i wyciągając do niego ręce, pobiegła na jego powitanie niemal z taką radością jak hrabianka. Zaraz też obie staruszki usadziły go pomiędzy sobą i jedna przez drugą wypytywać się go jęły, zkąd się tu wziął tak nagle i nieoczekiwanie?

— Naturalnie, że jadę do ciebie ciociu! — odrzekł Stefan. — Przed dwoma tygodniami, wkrótce po powrocie moim od ciebie, odebrałem depeszę donoszącą, że jeden z dzierżawców, otrzymawszy w spadku wioskę w Lubelskiem, robi zatargi i pragnie zrucić się z kontraktu. Zapytywał mnie plenipotent co robić z tym fantem? Ponieważ przytem miałem chwilę wolną i mogłem spokojniej niż przed kilku tygodniami wydalić się z domu, umyśliłem dać sobie urlop na kilka tygodni i sam dopatrzyć tej sprawy. Widzisz więc ciociu, że nie było czego opłakiwać tak serdecznie przy odjeździe — dodał z uśmiechem do hrabianki Niny. — Nie spodziewałaś się, że zobaczysz mnie tak rychło i że ci się nieproszony zakwateruję na kilka tygodni.

— Co to za szczęśliwy zbieg okoliczności!—zawołała żywo stara panna.

— Powiem ci więcej ciociu — rzekł Stefan — kto wie czy tych dwóch wiosek nie wezmę na siebie. W takim razie miałabyś mnie tu pod bokiem na czas dłuższy. — A cóż panna Ksenia? zapytał nagle zwracając się do Jenerałowej.

— Oh! panna Ksenia! — odparła śmiejąc się hrabianka — pogrążona po uszy w kostiumowych przygotowaniach! Czy uwierzysz, że pomimo iż jestem tu od południa, widziałam ją tylko tyle, co przyszła mnie przywitać na pół minuty!

— Nic to nie pomoże—odezwała się wesoło Jenerałowa — musi przecież ukazać się naszemu niespodziewanemu gościowi. Antoni, pójdź i poproś tu panienkę!

W minutę może Ksenia wesoła i uśmiechnięta weszła do salonu — wiedziała już o przybyciu gościa i powitała go przyjaznym uśmiechem jeszcze w progu.

Widziałem jak w tej chwili po spokojnej, poważnej twarzy młodego człowieka, przeszedł lekki, niedostrzeżony prawie jasny promień, jakby odbicie słabe wewnętrznego jakiegoś światła. Powstał i z tem spokojnem rozradowaniem na twarzy, stanął przed dziewczyną, wyciągając do niej rękę.

— No, proszę — rzekła figlarnie Ksenia — więc echa i odgłosy balowe dochodzą aż w głębie puszcz

i ostępów i nawet takich ludzi poważnych wyciągają na światło boże!

— Przepraszam — odparł Stefan przytrzymując jej rękę i patrząc w twarz jej bardzo bystro i przenikliwie — echa balowe nie przenikają nigdy moich cichych, poważnych lasów! Wcale co innego wyciągnęło mnie ztamtąd — dodał głosem cokolwiek zniżonym.

— Czy znowu jaki interes handlowy? — zapytała śmiejąc się dziewczyna.

Mirski się uśmiechnął.

— Czy nie może pani przypuścić, że pragnąłem zobaczyć państwa i dowiedzieć się czyście tu żywi i zdrowi?

— Oh! — odparła żartobliwie — po to przecież nie przyjeżdża się z tak daleka. Uczyniłabym to może ja, lub ktokolwiek inny, ale pan, na to za praktyczny i za chłodny, i wiesz dobrze, że łatwiejby było napisać, albo wreszcie zatelegrafować o te wiadomości, jak przebiegać kilkaset wiorst po raz drugi w tak krótkim czasie.

— Czy to tak niedawno tu byłem? — zapytał Mirski nie spuszczając oczu z twarzy dziewczyny.

— Naturalnie!... byłeś tu pan na początku karnawału, a dzisiaj mamy ostatki, więc siedm tygodni.

Młody człowiek puścił jej rękę.

— Widzi pani, że to dawno — rzekł poważnie — tak dawno, że przez ten czas zmieniło się coś w pani.

— Zmieniło się coś we mnie?! — zawołała Ukrainka patrząc na niego wielkiemi oczami.

— Tak, na twarzy pani przybył jakiś wyraz, jakiś rys, którego dawniej tam nie było.

— Na Boga, może zmarszczka? — zawołała śmiejąc się dziewczyna.

— Co takiego, tego pani nie powiem — odparł bardzo poważnie — albo pani wiesz o tem sama, albo jeśli nie wiesz, to tem lepiej! może się mylę!

— Czy to co złego? — trochę dziecinnie zapytała Ksenia patrząc na niego jasnemi oczyma.

Mirski przyglądał jej się bardzo uważnie i lekki uśmiech przesunął się po jego ustach.

— Nic złego — odparł łagodnie. — Nie myśl pani o tem. Powiedziałaś już przecież dawno, że jestem nudnym i miałaś szłuszność.

Całe towarzystwo słuchało z zajęciem tej rozmowy dwojga młodych ludzi. Zdawało mi się przecież, że nikt nie rozumiał dobrze, o co młodemu gościowi chodzi. Jeneralowa z dobrotliwym uśmiechem zapytała Stefana, czy nie znajduje, że jej szalona Ukrainka zanadto może rozbawioną jest i rozbalowaną? Hrabianka zaś Nina zrozumiała słowa siostrzeńca jeszcze gorzej, biorąc je za przyczepkę do coraz wspanialej rozwijającej się piękności Kseni. Ja tylko jeden zdawałem sobie sprawę jasno z tego co widziałem w tej chwili przed sobą. Wiedziałem jakich to śladów nowych szuka Mirski na jasnej twarzy naszej sieroty. Przekonałem się, że oprócz mnie, jeszcze ktoś drugi, oddalony o mil wiele, wśród mozolnej, twardej pracy, pomiędzy głuchą puszczą i bagnami, troszczył się o jej spokój — i doszedłszy w tej chwili do pewnego pewnika, myślałem sobie patrząc na szlachetną twarz młodego człowieka: więc ty rozumny i chłodny, ty spokojny i dojrzały, kochasz tę dziewczynkę naiwną i prostą, fantastyczną i wesołą jak wiosenny promyk słońca!

I kiedy niedługo potem kareta hrabianki Niny zajechała przed pałac i wyprowadziłem gości naszych, a uścisnąwszy jak zwykle dłoń Stefana, nagle, popchnięty jakiemś uczuciem, któremu nie mogłem się oprzeć, objąłem głowę młodego człowieka i ucałowałem go jak ojciec syna. Stefan spojrzał na mnie uważnie, a potem uścisnął mnie serdecznie. Żaden z nas nie przemówił słowa, ale zdawało mi się, że w tej chwili zrozumieliśmy się doskonale.

(*D. c. n.*)

Salon p. Krywulta.

Nasze malarstwo rozwija się nader pomyślnie i zyskuje uznanie co raz szersze i ogólniejsze u naszego społeczeństwa. Dość przytoczyć, że mamy w Warszawie trzy salony, które są zapełnione jeśli nie arcydziełami, gdyż o nie zawsze trudno, to jednak są to udatne i nęcące swojskością tematów obrazy. A jeśli już komu potrzeba koniecznie do wiary, zagranicznego patentu, to możemy zacytować słowa znanego artysty i profesora monachijskiego Pilloti'ego, który po wygranym konkursie tegorocznym rzekł publicznie, że dziś w malarstwie przyszła kolej na Polaków.

W obecnym przeglądzie zamierzamy zwiedzić z łaskawemi czytelniczkami „Salon Krywulta".

Gdyby szło o wybór artystycznej pracy — to pierwszeństwo należy się obrazowi rodzajowemu *J. Fałata*: „Przy studni". Jesteśmy w miasteczku, na ubocznej uliczce ozdobionej studnią, do której spieszą z koneweczkami praczki, służące i dziewczęta miejskie. Studnia po wsiach i miasteczkach jest punktem zbornym nietylko plotek, lecz i miłości klas niższych. Zdaje się, że p. Fałat miał na myśli obydwie właściwości studni, gdyż obok służących i dziewcząt, stoją i chłopcy. Jest to akwarela, znakomicie zrobiona, jak wogóle wszystkie prace tego artysty, że wspomniemy „w sadzie" i „cerkiew pod Przemyślem", ta ostatnia praca tchnie poezyą i wdziękiem pięknych okolic Czerwonej Rusi.

Jak gdyby dla kontrastu spotykamy obok prac Fałata, pełnych prawdy i życia, obrazy p. *Piątkowskiego*, które naszem zdaniem kwalifikowały się najzupełniej do ukrycia w atelièr malarza. „Magdalena na Golgocie" tegoż artysty, odznacza się przedewszystkiem jednostajnością kolorytu, skały, góry, krzyż i ciało wpół obnażonej Magdaleny — wszystko ma szarą barwę, a poza jej pod krzyżem jest co najmniej nienaturalną. Też same błędy, zwiększone nieudatnem naśladownictwem Siemiradzkiego „Wazon czy kobieta" spostrzegamy w obrazie p. Piątkowskiego „Nowy nabytek".

Stary, rozpustny Rzymianin ogląda młodą, obnażoną niewolnicę, którą przyprowadziła stara handlarka. I tu szary ziemnisty koloryt, zmierzwione i przylegające włosy, wcale estetycznego wrażenia nie robią — samego zaś rzymianina i kolorytu martwej natury do dodatnich stron obrazu trudno zaliczyć.

Stajemy przed obrazem p. *Żmurki* zatytułowanym „Sfinks". Obraz przedstawia młodą kobietę opartą o grobowiec ozdobiony egipską ornamentacyą. U stóp tej kobiety klęczy w pozycyi dość niewygodnej postać ludzka o brzydkiej twarzy. P. Żmurko, należy bezsprzecznie do utalentowanych artystów, jednak z utworów jego widać zmanierowanie i powtarzanie się, które nie może wyjść na dobre młodemu talentowi. Koloryt nienaturalny, żółtawo-mglisty, wyblakły, powtarzające się rysy twarzy, mglista myśl przewodnia, obok zaniedbania szczegółów — oto usterki widoczne na pierwszy rzut oka.

Przynajmniej dla nas owa kobieta fantastyczna, wcale nie jest sfinksem, ale chorą na anemią istotą, nie ma w niej bowiem ani wyrazu życia i zobojętnienia, ani namiętności i apatyi, ani też kokieteryi i uczucia. Zbytnie pochwały, któremi darzono artystę oddziałały widocznie niekorzystnie na rozwój talentu, gdyż ostatnie prace p. Żmurki jak: „Napój miłosny", „Śmierć Agrypiny" i ostatni utwór posiadają też same mniej więcej wady, obok istotnych zalet poprawnego rysunku, ugrupowania i perspektywy.

P. *Koniuszko* uczeń szkoły krakowskiej, znany jest warszawskiej publiczności z kilku prac, któremi się chlubnie odznaczył, że wspomniemy „Blaumontag". Obecnie mamy u p. Krywulta dwa obrazy tegoż artysty: „O zachodzie słońca" i „Przed karczmą". I jeden i drugi obraz przedstawiają nam zimę i w jednym i w drugim utworze artysta użył tych samych efektów krajobrazu zimowego — a podobne powtarzanie świadczy o zbytnim pośpiechu w tworzeniu i pewnem *dolce farniente* fantazyi. Stawiamy ten zarzut, gdyż wierzymy w talent artysty i kto tak dzielnie włada pędzlem, ten ma obowiązek iść wyżej, rozwijać się i godnie zaprezentować się przed krajem.

Jeśli ktoś nie zna arcydzieł idylii klasycznej a poznałby je z obrazów p. *L. Picarda*, obrzydziłby sobie na zawsze Grecyą i jej życie. Już t. z. „Sielanka grecka", była co najmniej wysoce niesmaczną, a owa illustrowana miłość dwojga młodych ludzi zakrawała na bakhanalie nieudolne, tak pod względem treści, jak i wykonania artystycznego.

Obecna praca tegoż artysty p. t. „Z życia greckiego" przedstawia szpetną niewiastę, która wieńczy w gaju posąg bożka — zaś obok niej stoi chłopak piernikowej barwy. I tło i postacie, nie posiadają żadnego uroku, nie mówimy już klasycznego, lecz nawet nowożytnego.

Znany artysta *Pruszkowski*, twórca pełnego poezyi, niewymownej tęsknoty i artystycznego wykonania „Anhellego", jest rzeczywiście artystą na wskroś samodzielnym, z głębokiem poczuciem poezyi i ducha ludu. Jego „Rusałki", „Wodnice" „Madej", „Piast", jeśli szwankują pod względem wykonania i pojęcia, to bądź co bądź wskazują, że artysta ten szuka nowych dróg i czerpie z bogatej skarbnicy poezyi ludowej. I dzisiejszy obraz jego „Wilkołak" należy do cyklu podanowej illustracyi wierzenia ludu, jakoby czarownice miały władzę zamieniać parobków na wilki — czyli t. z. wilkołaki, które żyją po części jak zwierzęta, ale z całem poczuciem swej ludzkiej przeszłości. Jesteśmy w lesie, wśród mroźnej zimy, i na śniegu zasypia dziewczyna wiejska, układając się do snu wiecznego. Obok niej zjawia się wilkołak, którego oczy mają wiele wyrazu smutku i przywiązania. Niezwyczajna treść nęci widzów, lecz z drugiej strony obraz ten posiada wiele usterek. Przedewszystkiem perspektywa jest błędną, prawie niemożebną i trudno uwierzyć, aby nad przepaścią mogła się utrzymać śpiąca dziewczyna; niemniej drzewa i perspektywa lasu jest wadliwą.

Dwa obrazy rodzajowe tegoż arsyty: „Schadzka" i „Zachód" są nietylko poprawne pod względem perspektywy i kolorytu, ale wieje z nich czar poezyi, właściwy temu artyście.

Do rzędu historyczno-rodzajowych obrazów należy zaliczyć utwór p. *Piwnickiego* p. t. „Jeńcy" i podobny mu treścią obraz p. *Daczyńskiego* „Epi-

zod z napadów tatarskich". Pierwszy obraz przedstawia pochód wziętej w jassyr ludności polskiej. Jest tam i szlachta, ich żony i córki i lud i dzieci i różnego rodzaju dobytek pędzony pod strażą tatarów. Mimo poprawnego rysunku, obraz ten nie robi dramatycznego wrażenia, a bogate stroje jeńców są nieprawdopodobne, gdyż, jak wiemy z historycznych opisów, tatarzy i wogóle żołdactwo wojujące przed XIX w. szczególniej chciwi byli na szaty i stroje.

P. Daczyński w swym utworze odmalował chwilę spoczynku tatarów w improwizowanym obozie. Widocznie przed dowódzcę przyprowadzają tatarzy zdobycze swej wyprawy, a przedewszystkiem dziewczęta, których wdzięki brutalnie odkrywają. Postać blondynki i bolesny wyraz twarzyczki pełen wstydu i męczeństwa, jest bardzo dobrze oddany — również leżący dowódzca o dzikiej twarzy i namiętnem spojrzeniu jest odmalowany z realizmem zasługującym na uznanie. Dalsza perspektywa i tło szwankuje pod niejednym względem, a zwłaszcza widocznem jest zaniedbanie szczegółów.

Z dziedziny rzeźby, która w porównaniu z malarstwem słabo się rozwija, mamy do zaznaczenia dwa bardzo udatne typy z pod Przemyśla p. *T. Barącza*, niemniej piękną grupę w marmurze zatytułowaną: „Poszept miłości". Młoda, prześlicznych kształtów kobieta, wybornie modelowana i pełna życia, słucha nachylona szeptu amorka. Grupa ta dowodzi kierunku klasycznego artysty, który dał się zresztą poznać jako wyborny portrecista.

Wybitnym a oryginalnym talentem odznacza się p. *A. Kurzawa*, który niestety, w bardzo długich odstępach czasu produkuje się z nowemi pracami przed publicznością. Na wystawie p. Krywulta spotykamy dwie grupy, pełne życia i prawdy: „Polones", przedstawiający podżyłego szlachcica z epoki Saskiej, wiodący tan z dziewczęką młodą a skromną — zaś „Mazur" odświeża w naszej pamięci dzielność i ogień ludowego tańca. Wprawdzie trochę więcej zgrabności i lekkości nie zaszkodziłoby tym grupom, lecz bądź co bądź należą one do korzystnych objawów talentu p. Kurzawy.

Certus.

NOWA STRATA.

Bardzo nieliczne są nasze naukowe towarzystwa, poświęcone specyalnym gałęziom wiedzy, któreby czynem i słowem popierały naukowe usiłowania ludzi poświęcających się naukom ścisłym.

Dziś przychodzi nam zaznaczyć nową stratę w tym kierunku, jak się bowiem dowiadujemy z Paryża, Polskie towarzystwo nauk ścisłych przestało istnieć.

Zamiast opisu podajemy tu protokół z ostatniego posiedzenia, który jest zarazem aktem zejścia tej naukowej a zasłużonej instytucyi.

Polskie towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu poniosło, jak wiadomo, ciężką stratę przez śmierć swojego założyciela hr. Jana Działyńskiego. Że jednak było ono, jak świadczy poniżej zamieszczony dokument, przedmiotem troskliwości jego i po za grobem, gdyż myślał on o sposobie zabezpieczenia go swoim majątkiem, zdawało się więc że byt Towarzystwa jest zapewniony. Stało się jednak przeciwnie.

Działo się w dniu 29 czerwca 1882 roku, na posiedzeniu ogólnem Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu, wmyśl artykułów: 36, 22 i 42 „Ustawy".

Prezydujący Adam Prażmowski przypomina Towarzystwu słowa, wypowiedziane przez ś. p. prezesa hr. Jana Działyńskiego na posiedzeniu ogólnem w dniu 16 maja 1878 r.

„Niechaj Towarzystwo o swą przyszłość spokojnem będzie; nie mając potomka, wybrałem z pośród mych krewnych następcę, który podtrzyma Towarzystwo, a nawet prawdopodobnie rozszerzy jego działalność".

To zalecenie wyraźne prezesa Towarzystwa było powodem, że po jego śmierci (30 marca 1880 r.) przez dwa lata przeszło Adam Prażmowski opierał się wprowadzeniu decyzyi co do dalszych losów Towarzystwa na porządek dzienny bez otrzymania opinii p. hr. Wład. Zamojskiego, sądząc, iż jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą nie przedsiębrać tego kroku bez wiedzy i opinii spadkobiercy.

Z uwagi jednak, *że do tej chwili od p. hr. Wł. Zamojskiego, prawie już rok bawiącego w Kórniku, prezydium Towarzystwa pomimo kilkakrotnych oficyalnych odezw, nie otrzymało bezpośrednio żadnego uwiadomienia*, zebranie dzisiejsze zwołane zostało w celu powzięcia stanowczego postanowienia, aby koniecznie uniknąć niewyraźnego i niezakończonego ustania działalności tej instytucyi naukowej.

„Ustawa towarzystwa nauk ścisłych" nie przewiduje wprawdzie wyraźnie możności zamknięcia Towarzystwa, jednak podobną decyzyę Towarzystwo powziąć może, opierając się na brzmieniu art. 42:

„zresztą posiedzenia rządzą się przyjętemi przez inne Towarzystwa zwyczajami",

jakoteż na art. 40, w którym jest mowa o:

„nowej czynności specyalnej Towarzystwa, niezawartej w Ustawie".

Jako uzupełnienie prezydujący dodał, że układając wespół z ś. p. hr. Janem Działyńskim i p. Wład. Folkierskiem „Ustawę towarzystwa nauk ścisłych" na początku 1870 roku, tak on jak i p. Folkierski chcieli pomieścić artykuł określający postępowanie w razie potrzeby zamknięcia instytucyi, lecz ś. p. hr. Jan Działyński stanowczo się temu oparł.

Po wyczerpującej wymianie zdań, zgromadzenie jednogłośnie postanowiło:

I. Oddać hołd pamięci swego prezesa: założyciela i protektora, hr. Jana Działyńskiego przez powstanie i zapisanie do protokółu.

II. Zaznaczyć w protokóle dzisiejszego posiedzenia, iż przy kwalifikowaniu niektórych rozpraw do Pamiętnika, Towarzystwo kierowało się zdaniem swego prezesa, iż w naszych trudnych warunkach musimy być pobłażliwi, drukujmy co tylko drukować można, aby tem samem zachęcać do pracy naukowej.

Redakcya Pamiętnika dokładała jednak starań, aby w każdym tomie znalazły się prace donioślejszego znaczenia naukowego.

III. Zaznaczyć również, że prócz wydanych dwunastu tomów Pamiętnika, Towarzystwo w myśl art. 54, 55 (2°), 56—60, zakwalifikowało do ogłoszenia i zgodnie z art. 61 wyjednało u ś. p. hr. Jana Działyńskiego, nakład na następujące dzieła:

1) Zasady rachunku różniczkowego i całkowitego z zastosowaniami. Wład. Folkierskiego w dwu tomach;

2) Wykład Hydrauliki F. Kucharzewskiego i W. Klugiera;

3) Wykład Mechaniki cząstkowej zeszyt I, W. Gosiewskiego;

4) Wykład nauki o równaniach różniczkowych. W. Zajączkowskiego;

5) Teorya Wyznaczników. M. A. Baranieckiego.

6) Geometrya wykreślna z zastosowaniami. E. Sągajły.

Żadnych innych z ogłoszonych dzieł, prócz tu wymienionych, Towarzystwo do druku nie zalecało.

Nadto Towarzystwo w latach 1878 i 1879 rozpoczęło rokowania co do przygotowania nowych dzieł z zakresu matematyki, lecz takowe z chwilą śmierci prezesa zmuszonem było zawiesić.

IV. Polecić sekretarzowi, zawiadomić autorów tak dzieł projektowanych, jak i zamówionych rozpraw do Pamiętnika, iż prace przez Towarzystwo nie będą mogły być ogłoszone.

V. Zapisać do protokółu podziękowanie osobom do składu Towarzystwa nie należącym, które swe prace nadsyłały Towarzystwu, jakoteż tym, które w jakikolwiek sposób dla Towarzystwa zasługi położyły.

VI. Wobec niedoboru w kasie Towarzystwa, na pokrycie którego jego ruchomości nie wystarczają, zrealizowanie ich i rozporządzenie osiągniętym funduszem powierzyć wice prezesowi i sekretarzowi drugiego Towarzystwa.

VII. Archiwum Towarzystwa t. j. protokóły, korespondencye i piśmienne oceny prac przedstawionych Towarzystwu, przesłać do Akademii Umiejętności w Krakowie jako depozyt.

Dopilnowanie tego powierzyć sekretarzowi.

Nakoniec:

Działalność Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu uznać za zawieszoną z dniem 1-go lipca 1882 roku na czas nieograniczony; protokół dzisiejszego posiedzenia, po odczytaniu go i przyjęciu przez zebranych i po podpisaniu go w imieniu Towarzystwa przez prezydującego i sekretarza uważać za protokół zawieszenia i ogłosić na czele tomu XII Pamiętnika.

Czyż potrzeba wymowniejszego świadectwa i dowodu, że nasi „nieobecni" zapomnieli o drodze, którą ich przodkowie doszli do znaczenia i czci narodu.

G.

Z TEATRÓW.

W ubiegłą niedzielę przedstawiono na scenie Teatru Letniego nową sztukę p. t. „Z przeciwnych obozów" p. Stanisławskiego.

Młody autor zatytułował ten utwór swej fantazyi „fraszką dwuaktową", jakkolwiek należy on w zupełności do rzędu bluetek scenicznych, tak świetnie przez francuzów wyzyskiwanych. Treść tej sztuki polega na przypadkowem a nieprawdopodobnem spotkaniu czterech przedstawicieli różnych obozów literackich na jakimś przystanku kolei pod Warszawą.

Mamy tedy klasyka Fabiana Pietrzyckiego i jego siostrzeńca pozytywistę Filipa Pietrzyckiego, jest i ciotka romantyczka panna Ludmila, wreszcie jej kuzynka pani Zofia idealistka. P. Filip i p. Zofia przyjechali na ten przystanek, jako na

schadzkę miłosną, każde z osobna, nie znając się osobiście. Przypadek—gdyż cała intryga polega na przypadkach, zrządził, że młodą i ładną Zofię zamyka sługus kolejowy w pokoju razem z klasykiem i gubi klucze, zaś obok, w drugim pokoju zostaje romantyczka, właścicielka dobrze wypchanej wiktuałami torby z pozytywistą.

Oboje młodych spotyka zawód: oczekiwane przez nich osoby nie przybyły, tylko nadesłały listy zrywające łączące ich stosunki.

Autor, chcąc wybrnąć z kłopotu, sklecił na poczekaniu nietylko małżeństwo dwojga młodych, ale nawet natchnął ich miłością.

W utworze tym razi przedewszystkiem nieprawdopodobieństwo sytuacyi, uczuć i wreszcie niemożliwość istnienia takich postaci. Ani jeden fakt nie da się wytłomaczyć racyonalnie i logicznie.

Dzięki znakomitej grze p. Ostrowskiego (klasyka), który uzupełniał własnym dowcipem nudną rolę, niektóre sceny wyszły zabawnie i skłaniały widzów do uśmiechu. Trudną rolę Zofii, odegrała artystycznie pani Ładnowska, usprawiedliwiając ognistym temperamentem nieprawdopodobną postać. Również gra p. Szymanowskiego, była jak zwykle wykończoną i wycieniowaną. Pani Ostrowska i p. Galasiewicz, jako służący, grali dobrze. Sama wystawa sztuki zasługuje na wysokie uznanie rezyseryi i dyrekcyi, a poszczególne sceny, o ile to było zawisłem od artystów, szły z życiem i koncertowo.

Wracając do utworu, radzimy szczerze p. Stanisławskiemu, aby nie łudząc się chwilowem powodzeniem, które trwa zawsze bardzo krótko, zwrócił się do poważnego studyowania życia i do przyszłych utworów swej muzy dobierał postaci ziemskich, żyjących ciałem i duszą, a nie wylęgłych w wyobraźni przy biurku.

* * *

Sympatyczny artysta lwowski p. S. Zamojski, wystąpił na scenie Teatru Letniego w „Panu Damazym” Blizińskiego i w „Zemście za mur graniczny”. Tak w jednym jak i w drugim utworze artysta ten grał dobrze, ze zrozumieniem ducha i intencyi autorów, lecz obawa przed nową publicznością krępowała p. Zamojskiego i nie dozwoliła na rozwinięcie całego zasobu humoru i swobody, które są właściwemi temu artyście.

* * *

Pani Hoffmanowa po powrocie z Petersburga wystąpi gościnnie kilka razy na naszej scenie. A mianowicie: w „Szklance wody” Scribego, w „Odecie” Sardou, w „Pojęciach pani Aubrey”, w „Balladynie” i w „Ćwiartce papieru”. Dla naszych Czytelniczek sądzimy, że wiadomość ta nie będzie obojętną, gdyż artystka krakowska podczas ostatniej swej bytności w Warszawie, zostawiła nader miłe wrażenie swą wykwintną i artystyczną grą.

* * *

Od dłuższego czasu pojawiały się w naszych dziennikach wieści o zamierzonych reformach w kierownictwie teatru. Obecnie dyrektorem dramatu i komedyi jest od dłuższego czasu, zasłużony i bardzo sympatyczny artysta p. Tatarkiewicz, który swą dbałością o należytą wystawę sztuk i troskliwością w wyborze tychże, zasługuje na wysokie uznanie, a złożył najlepszy dowód umiejętności prowadzenia dramatu i komedyi, gdy potrafił się utrzymać dłuższy czas na tem stanowisku, wymagającem wiele taktu i wiedzy artystycznej. Sądzimy też, że wieści o ustąpieniu p. Tatarkiewicza nie sprawdzą się, i że artysta ten będzie i nadal pracować z korzyścią dla sceny i sztuki, jako dyrektor dramatu i komedyi.

* * *

Jak się dowiadujemy, utalentowany artysta p. Ludwik Śliwiński, który od dłuższego czasu pracował na scenie lwowskiej i krakowskiej, ma debiutować na scenie Teatru Warszawskiego. Artysta ten ma wystąpić trzykrotnie w następujących sztukach: w „Czartowskiej Ławie”, w „Okrężnem” i w „Kapeluszu słomkowym”.

* * *

Teatrzyk „Nowe Tivoli” stara się z powodzeniem rywalizować z innemi teatrzykami, mimo, że opóźnienie w jego otwarciu nie należy do korzystnych warunków rozwoju.

W ubiegłą niedzielę teatrzyk ten wystawił wesołą farsę francuzką, przerobioną na stosunki galicyjskie p. t. „Starosta”. W sztuce tej odznaczyli się pp. Winkler i Feldman.

Dyrekcya tego teatrzyku wystawi wkrótce operetkę p. Kucza: „Tajemnice Starego Miasta” i wodewil p. Frenkla: „Epizod z poddasza”.

Jak się dowiadujemy, teatrzyk ten bedzie przez zimę gościć w Lublinie.

W „Belle-vue” nie przestaje ściągać licznej publiczności „Wiara, miłość i nadzieja”, a śpiewy i tańce dziarsko prowadzone przez p. Rutkowskiego i pannę Borkowską, są gorąco oklaskiwane i bywają na żądanie publiczności prawie zawsze powtarzane.

Wkrótce zostanie odegrany w „Belle-vue” nowy utwór „U wrót szczęścia”, utalentowanego autora J. J. Święcickiego, który już dawniej zyskał bardzo chlubną krytykę za poprzedni utwór „O własnych siłach”, grany z powodzeniem w „Alhambrze”.

Drugą nowością ma być dramacik p. Zglińskiego p. t. „Niezręczny”. Dyrekcya tegoż teatrzyku przygotowuje na bieżący sezon komedyjkę oryginalną Wł. K. Zielińskiego p. t. „Sądowe zajęcie”, następnie tegoż autora komedyę w 2-ch aktach zatytułowaną „Wyścigi konne w Warszawie” i „Próbę przyjaźni”, przekład W. K. Zielińskiego. Jako sztukę sezonową zapowiada „Belle-vue” „Warszawa za 100 lat”.

Niemiłą stroną wszystkich ogródkowych teatrzyków są przydługie antrakta, trwające czasami 30 minut, czy nie możnaby zapobiedz temu nadużyciu pp. restauratorów, którzy w ten sposób zmuszają publiczność do jadła i napitku.

A. G.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Odpowiedź jenerałowi Skobelewowi.

Powszechnie znaną jest rzeczą jakie wrażenie wywołały mowy jen. Skobelewa wypowiedziane przed paru miesiącami w Petersburgu i Paryżu, otóż hr. Piotr Kutuzow uważał za stosowne na mowy te tak bardzo wojownicze odpowiedzieć stosownie, osłabiając a nawet niwecząc doniosłość wypowiedzianych mów przez p. Skobelewa. Wskutek też tego hr. Kutuzow napisał po francuzku broszurkę zatytułowaną: „Rzeczywiste interesa świata słowiańskiego i pokój europejski — odpowiedź jenerałowi Skobelewowi”. Broszurkę pomienioną niezwłocznie przełożono na języki rosyjski i niemiecki, jako też staraniem A. Lesmana i na polski. Rzecz ta dobrze i logicznie napisana, udowadniająca że p. Jenerał mówił nie jako dyplomata, lecz jako żołnierz, i że wyraził tylko swe osobiste zapatrywania, których rząd bynajmniej nie podziela. W broszurze tej znajdujemy też wiele trafnych myśli, wiele prawdy i logicznych wywodów, które sprawiają to, iż broszurka pomieniona czyta się z zajęciem i należy do rzędu lepszych publikacyi tego rodzaju jakie w tych czasach się pojawiły.

Żydzi na wsi przez *Jana Jeleńskiego.* (Warszawa, 1882 r. wydanie drugie).

Wiemy dobrze, jak wielce ogół nasz jest obecnie zajęty kwestyą żydowską, jak gorąco pragnie uregulowania jej i jak rozmaicie na nią się zapatruje. Otóż p. Jeleński korzystając z tej chwili, ogłosił swe zdania i przekonania, dotyczące głównie żydów przebywających na wsi i poparł licznemi przykładami i paragrafami ustaw. P. Jeleński jak na dłoni wyłożył szkodliwość po wsiach rozsiadłego żydostwa, które bądź jako pachciarze, arendarze, handlarze i t. d., na najrozmaitsze sposoby wyzyskują lud ciemny i nieoświecony, zaszczepiają i szerzą najrozmaitszemi sposobami demoralizacyą między ludem i są nakoniec niszczycielami dobrobytu, mienia i zdrowia ludności naszej. Jakie skutki takie gospodarstwo pociąga za sobą, wykazuje najlepiej Galicya. Upomina też p. Jeleński, aby i tu coś podobnego nie było i radzi, aby szerzące się zło jednym zamachem ukrócić: 1) Ograniczając do minimum liczbę karczem wiejskich. 2) Znosząc tak zwane „karczmy przydrożne”, kryjące się na uboczach i pustkowiach. 3) Znosząc tak zwane „sucho arendy” będące w rękach żydów. 4) Pilnując aby prawo zabraniające żydom trudnienia się sprzedażą trunków po wsiach, było z całą ścisłością wykonywane. 5) Udzielając wszelkiej możności mieszkańcom wsi i osad, zakładania kas pożyczkowych i oszczędności, czyniąc wszelkie w tej mierze ułatwienia i nie szczędząc środków zachęty. 6) Popierając uchwały gminne, mające na celu wydalanie ze wsi znanych oszustów. 7) Zakładając *wszędzie* tak nazwane: „gospody chrześciańskie” i sklepy *nie żydowskie.* 8) Stanowczo i jednomyślnie pozbywając się ze wsi arendarzy, pachciarzy i tym podobnych nieodstępnych dotąd kontrolerów-pijawek — nie tylko dworów lecz i chat włościańskich.

Piękne i zbawienne są to rady, lecz czyż jest choć słaby promyk nadziei, aby były wykonane? O ludzie nie mówię, bo lud jest za mało oświecony, aby pojął ich doniosłość, tembardziej jeżeli broszura p. J. przez lud nie jest czytaną. Obywatelstwo nasze przyzna racyą p. J. i niejeden z grona tego zawoła: „Oj święta prawda! albo to mój Josek nie ssie mnie już od lat tylu, albo to on nie wie o każdym moim kroku, o każdym groszu, każdym korcu zboża?”—mimo tego jednak Joska nie pozbędzie się i jak dawniej tak i nadal przez niego i jego towarzyszy da się wysysać.

Broszurka p. Jeleńskiego „Żydzi na wsi” wedle naszego zdania, znajdowaćby się powinna w rękach nietylko każdego obywatela ziemskiego, każdego

dzierżawcy, rządzcy, ekonoma, lecz także co najważniejsza, w rękach każdego włościanina, a wtedy gdy wszyscy ją dokładnie poznają, wtedy mówię i pragnienie p. Jeleńskiego spełnić się może.

Jakby się wieśniacy mogli rządzić w gminach, przez *Janka Mrówkę*. (Warszawa 1882 r.)

Broszurka ta bezwarunkowo znajdować się powinna w ręku tych, do których jest napisaną. Drugie to już wydanie tej treściwej a bardzo pouczającej broszurki, w której Janek Mrówka opierając się na Ukazie z 2 marca 1864 roku, wskazuje włościanom ich prawa i przywileje, a nawołując do wykonywania tego co Ukaz wykonywać im wskazał, objaśnia jak przy teraźniejszem prawie wieśniacy mogą się rządzić w gminach. Janek Mrówka objaśnia więc: Zebrania i uchwały, O czem można radzić na zebraniach? Co to są zebrania gromadzkie i jaki z nich mógłby być pożytek? Jak i kogo wybierać na sędziów gminnych?—Rzecz cała napisana jest gładko, przystępnie i z wielką znajomością traktowanego przedmiotu.

NOWE WYDAWNICTWA.

Car Iwan IV Wasilewicz groźny (obrazek historyczny D-ra U. Mosbacha. Wrocław 1882 r.) Obraz ten jest przedstawiony nader wiernie podług kronik rosyjskich, przytoczonych w znacznej ilości w wiernym polskim przekładzie. Wielce ciekawe są rozmaite szczegóły pożycia domowego cara Iwana. Źródłowo również opracowany stosunek do Kazimiery Jagiellonki, o której rękę się starał. Ustęp o zajęciu i zniesieniu Rzeczypospolitej Pskowskiej malowany nader żywo i ze wszystkiemi szczegółami. Smutny los magnatów i bojarów pskowskich przedstawia się w całem świetle. Książka ta stanowi cenny materyał historyczny łącząc żywość opowiadania ze źródłowem opracowaniem rzeczy. Historyę Rosyi XVI wieku i jej późniejszy rozwój rozumie się lepiej, poznawszy dokładnie historyą Iwana IV. Istnieje podobno myśl przełożenia książki tej na język rusiński.

Kilka słów o wystawie inwentarzy, odbytej w Warszawie w czerwcu 1882 r. napisał i wydał Julian Sypniewski. Tak więc świeżo odbyta wystawa doczekała się już swego bezstronnego i sumiennego historyografa. Najcenniejszą jednak stroną tej pracy pana Sypniewskiego, są rady i wskazówki, jakie krytykując świeżo odbytą wystawę, daje autor organizatorom podobnych wystaw na przyszłość. Dlatego też broszurka niniejsza powinna obudzić większe zainteresowanie w licznych kołach naszych ziemian i hodowców.

Ruskaja starina w jednym z ostatnich swych zeszytów zamieszcza bliżej nas obchodzący artykuł p. t. „Rosya i Polska od 1798 do 1831 roku."

Fryderyk Bodenstedt, jeden z najwykwintniejszych żyjących poetów niemieckich, wydał w tych dniach w Lipsku (u Brockhausa) opis swojej podróży po Ameryce odbytej dwa lata temu (od października 1879 r. do lipca 1880 r.). Najciekawszem jest to może, że „nowy świat" zdołał poetę tego natchnąć do sporej wiązanki poematów zawartych w tej książce i to poematów nieraz prawdziwie wspaniałych, jak np. „Niagara", „Minnehaha", „Mariposa", „Pożegnanie Ameryki", „Ocean" i t. p. Naprzemiany wierszem i prozą opowiada poeta swoje wrażenia, uczucia, tęsknoty, piękności natury, opisuje urządzenia najrozmaitsze, charakteryzuje życie miejscowe, obyczaje i t. d. z żywością a nieraz i z wyśmienitym humorem, zdradzając oko dobrego obserwatora. Jak niegdyś w opisach swej podróży na Wschód umiał ten poeta nadać swym zawsze wytwornym wierszom odrębny a stosowny charakter, tak i obecnie w kreśleniu wrażeń amerykańskich zdołał odpowiednio a oryginalnie muzę swoją nastroić. Ztąd też nowa praca Bodenstedta czyta się z wielką przyjemnością, choć może autor, jak zwykle poeta, za dużo i za często się zachwyca. W każdym razie książka ta oryginalną jest wielce, w swoim rodzaju. Dodać należy, iż Bodenstedt, dzięki swej rozpowszechnionej sławie, cieszył się w Ameryce szczególnemi względami, jak rzadko który podróżnik, a w niektórych miejscowościach jak np. w Milwaukee wspaniale był podejmowany. Dobrze i to, że autor o tem wszystkiem w książce swej wspomina ze skromnością, która w każdym razie dobrze czytelnika usposobić musi dla autora. Tytuł książki, o której mówimy, opiewa: „Vom Atlantischen zum Stillen Ocean". (Leipzig 1882 r. — F. A. Brockhaus).

Historya masonów w Polsce—rękopis zmarłego Skimborowicza, o którym donoszono jakoby miał być nabyty przez księgarnię J. K. Żupańskiego w Poznaniu, znajduje się u tutejszych wydawców pp. Lesmana i Świszczowskiego. Panowie ci zawiadamiają nas, że do opublikowania rękopisu tego przystąpią o ile okaże się to możliwem. Co do ceny, za jaką rękopis ma być nabyty, nie jest jeszcze zadecydowane.

The making of england. Jak Anglia powstała, przez Ryszarda Green. Dzieło bardzo gruntownie napisane, przedstawiające nadzwyczajne trudności i przeszkody, które mieli do zwalczenia Saksoni przed 1500 laty w Brytanii. Pokazuje się wszakże z pierwotnego najazdu i osiedlenia się Saksonów, że jak zawsze autochtoni źle na tem wyszli, bo ich do szczętu prawie wytępiono. Niemcy bardzo chwalą to dzieło i nic dziwnego, bo znowu przez nie wykazują siłę zapładniającą swego plemienia, które się ujawnia według nich, wszędzie, w początkach formujących się państw ówczesnej Europy.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** *Katedra prawa polskiego na uniwersytecie lwowskim.* Wskutek uchwały Sejmu, wezwany został rząd, aby na uniwersytecie we Lwowie systemizował osobną katedrę dla wykładów prawa polskiego, tudzież aby na uniwersytetach we Lwowie i Krakowie prawo prywatne polskie, wraz z historyą prawa polskiego było przedmiotem obowiązkowym egzaminów ścisłych z historyi prawa. Reskryptem z dnia 15 lutego 1882 r. oświadczył minister oświecenia, iż ze względu na okoliczność, że dekanat wydziału prawniczego uniwersytetu lwowskiego nie mógł na razie przedstawić odpowiedniej osobistości na pomienioną katedrę, nie przychyla się do wniosku o ustanowienie tej katedry, a to na tak długo, jak długo nie zostanie przedstawioną zupełnie ukwalifikowana potemu osobistość. Ażeby jednak już obecnie umożliwić bardziej rozszerzony i stały wykład tych nauk, zarządził p. minister, by począwszy od roku szkolnego 1882/83 na uniwersytecie lwowskim w każdem półroczu odbywały się przez 4 do 5 godzin tygodniowo wykłady prawa polskiego i jego historyi i poruczył te wykłady teraźniejszemu docentowi prawa polskiego profesorowi uniwersytetu D-rowi Andrzejowi Fangorowi za przyznaniem stosownego honoraryum.

Nie przychylił się zaś p. minister do żądania sejmu, by prawo prywatne polskie i historyą tego prawa zaliczono do przedmiotów obowiązkowych egzaminów ścisłych z historyi prawa, ponieważ przedmioty te nie stanowią historycznej podstawy obowiązującego w Galicyi dziś prawa prywatnego.

*** *Katedra historyi polskiej na uniwersytecie lwowskim.* Na posiedzeniu z dnia 21 października 1881 wydał sejm uchwałę, aby wezwać rząd, żeby w uniwersytecie lwowskim zaprowadził katedrę historyi polskiej. Reskryptem z dnia 29 kwietnia 1882 uwiadomiło prezydium namiestnictwa, iż uchwałę tę przedłożyło ministerstwu wyznań i oświecenia. Dalszego zawiadomienia nie otrzymał Wydział krajowy w tej sprawie.

*** *Zakład narodowy Im. Ossolińskich.* W roku ubiegłym skierowane były dążenia kierownictwa zakładu do coraz doskonalszego spełniania celu tej instytucyi, przez ułatwianie jak najszerszym kołom publiczności korzystania ze zbiorów zakładu. Prace nad wydaniem katalogu rękopisów i ułożeniem realnego katalogu druków, zrobiły znaczne postępy, równie jak kompletowanie, porządkowanie biblioteki i innych jej zbiorów. Na szczególną wzmiankę zasługuje rozpoczęte uporządkowanie zbiorów numizmatycznych zakładu. Zakład posiadał w roku ubiegłym dzieł drukowanych unikatów 77,570, dubletów 5,920, prób druku 449, atlasów i map 1,102, rękopisów 2,911, autografów 2,693, dyplomów 872, podobizn 75, rycin 23,705 i obrazów 678. Zbrojownia liczyła 576 okazów, rzeczy muzealnych było 1808, monet i modeli wraz z dubletami 10,591, owadów i konchiliów 7,710 i t. d. Pracownia naukowa zakładu otwartą była dla publiczności w ciągu roku ubiegłego przez 231 dni, a że w ciągu tego czasu wydano dla 1879 czytelnikó 970 rękopisów, 5,192 dzieł a 10,611 tomów, przeto wypada na 1 dzień w przecięciu 8 czytelników, 4 rękopisy, 22 dzieł a 46 tomów. W czytelni górnej która otwartą była przez 169 dni, było 11,293 czytelników, czyli w przecięciu po 67 osób dziennie. Do domu wypożyczono 5,074 dzieł w 7, 956 tomach, rękopisów i autografów 68. Muzeum zwiedziło 2,623 osób, studya robiło w niem osób 874.

Majątek zakładu wynosił z końcem r. 1880, w efektach przechowanych w kasie krajowej 163,455 złr. 13 ct. w dobrach nieruchomych, zapisanych, zbiorach i w gotówce 501,352 złr. 58 ct.

*** *Bursa dla uczniów seminaryum nauczycielskiego we Lwowie.* Kilkumiesięczne zabiegi Wydziału krajowego, aby wyszukać odpowiednie dla bursy umieszczenie, pozostały bez skutku, wskutek tego Wydział krajowy oświadcza się za budową nowego domu i wnosi, aby sejm zaprowadzenie bursy odroczył do roku 1885|6 (gdyż założoną być miała w r. b.) upoważniając zarazem Wydział krajowy do zakupienia gruntu i wybudowania domu kosztem 50,000 złr.

*** *Fundacya ś. p. Anny Helclowej.* Postę-

powanie spadkowe zostało ukończone, wszystkie legaty i należytości spłacone, grunt pod budowę gmachu na zakład dla nieuleczalnych chorych i ubogich kupiony i reszta pozostałych kapitałów do kasy Wydziału krajowego złożona. Obecnie toczy się sprawa o ułożenie aktu fundacyjnego. Ponieważ ułożony przez kuratora Ludwika Szumańczowskiego projekt aktu fundacyjnego nie we wszystkich punktach zgadza się z projektem ułożonym przez Siostry miłosierdzia, które mają zawiadywać powyższym zakładem pod kontrolą kuratora i Wydziału krajowego, przeto Wydział krajowy, aby pozyskać trwałą podstawę do dalszych rokowań, porozumiał się z namiestnictwem i prokuratoryą skarbu co do sposobu urządzenia tej fundacyi i sporządzony na podstawie tego porozumienia projekt aktu fundacyjnego, przesłał kuratorowi z wezwaniem, aby nakłonił Siostry miłosierdzia do przyjęcia tego projektu. Odpowiedzi na to wezwanie Wydział krajowy nie otrzymał jeszcze.

*** *Szkoła izraelicka w Brodach.* Sejm przeznaczył dla tej szkoły stałą subwencyą 6,000 złr. rocznie, jeżeli gmina izraelicka odstąpi od warunku, iżby nauka odbywała się w języku niemieckim. Gmina odstąpiła od tego warunku. Przeto Wydział krajowy wypłaca peryodycznie subwencyą. Zasiłek ten odniósł piękny skutek; szkoła prowadzoną jest wzorowo tak pod względem dydaktyczno-pedagogicznym, jak pod względem nauczania języka polskiego.

*** W Teatrze królewskim w Monachium przedstawiono z wielkiem powodzeniem dramat Putlitz'a *Idealiści.* Rzecz dzieje się we dwa lata po wojnie francuzko-pruskiej, a główną w niej rolę odgrywają pewien oficer i młody doktór, którzy brali udział w tej pamiętnej walce. Wnosząc z tytułu, możnaby sądzić, że autor wziął sobie np. za zadanie wykazać jak ideały marzone na początku wojny, ustąpiły wkrótce miejsca rzeczywistości i rozczarowaniu, ale tak nie jest. Utwór p. Putlitz'a nie odnosi się do narodu niemieckiego, ale do dwóch jedynie jednostek, zarówno ożywionych duchem ofiary i poświęcenia — tak rzadkim w naszej pozytywnej epoce — i ztąd nazwano ich *idealistami.* Hermann poświęca się dla Leonhard'a, zrzekając się dla niego pięknej Ewy, którą bezgranicznę ukochał miłością. Leonhard zrzeka się milionów na rzecz przybranego ojca, którego całe życie było jednym długim ciągiem ofiary i zaparcia siebie i który w ostatnim akcie raz jeszcze umie się poświęcić. Jużto w całej tej sztuce wszyscy zdają się współubiegać z sobą o to, kto potrafi dać dowód większego zaparcia siebie i abnegacyi. Szczęściem dla bohaterów dramatu, że wszelkie te poświęcenia kończą się samą tylko do nich gotowością, w rzeczywistości zaś nie potrzebują być uczynione. Kończy się na tem, że tak Herman jak Leonhard poślubiają swoje ukochane, gdyż autor tylko dla zawikłania intrygi, pomieścił parę scen, z których Hermann mógł wnosić że Ewa kocha jego przyjaciela, kiedy w rzeczywistości jemu oddała serce. Wdzięczność udowodniona bezgranicznem poświęceniem, pogarda bogactw, przyjaźń jak Oresta i Pylada, zapał do sztuki i nauk, wielka i święta miłość ojczyzny — oto uczucia odznaczające wszystkie osoby wchodzące do dramatu. Widocznie p. Putlitz chciał rozbudzić i podnieść moralną stronę widzów, przedstawiając im jakie powinnoby być społeczeństwo niemieckie, ale ideał jego tak daleko odskakuje od rzeczywistości, iż dramat nie budzi wielkiego zajęcia, zakrawając na jakąś przedawnioną sielankę. Każda z osób występujących w dramacie, ma niby uosabiać jakiś oddzielny typ ideału; najsympatyczniejszym i najprawdopodobniejszym jest niewątpliwie stary nauczyciel muzyki, wychowujący przybranego syna z marnej zapłaty za udzielane lekcye, które zajmując mu cały czas, nie dozwalają oddać się kompozycyi oryginalnych utworów muzyki, do czego posiada niezaprzeczony talent. Dobry jest także typ tej kobiety nienawidzącej muzyki i całkiem oddanej zajęciom gospodarskim. Wogóle przyznać trzeba, iż pomimo małych usterek, sztuka jest dobrze napisaną; autor nie chciał budzić zajęcia za pomocą pieprznych skandali i dwuznaczników, artyści grają doskonale, co wszystko zapowiada że dramat ten długo utrzyma się na scenie.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 10 Августа 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Łucya miała teraz u siebie pastora Sumnor z żoną i biedną Małgorzatą, którą na jej fotelu przesunięto do Foxwood-Court, gdzie wraz z doktorem Moore i siostrą jego miss Dianną, zaproszeni byli na obiad. Wiedząc o tem miss Blake, chciała uprzedzić że wróci na obiad, aby czasem nie czekano na nią. Widząc że nikt jej nie towarzyszy, Żemina Moore, w gruncie dobra dziewczyna, ofiarowała się odprowadzić ją, gdyż z Foxwood-Court miała już bardzo blizko do domu. Dochodząc do Labiryntu, ujrzały dość liczną gromadkę cisnącą się do kraty.

— Zobaczmy co się tam stało! zawołała Żemina, i pobiegła ku kracie.

Dwukrotne wdarcie się pana Tatton do Labiryntu — a teraz poznano już prawdziwe jego nazwisko i wiedziano że jest ajentem policyjnym — wywołało przeróżne domysły i komentarze, tem więcej że ani dwie osób nie zgadzały się na jedno. Najszerzej rozpowszechniła się pogłoska, że menażerya dzikich zwierząt nieprawnie rozsadowiła się w Labiryncie. To też coraz nowe gromadki zbierały się przed kratą, wtykając nosy między kraty, w chęci zobaczenia lub przynajmniej posłyszenia ryku zwierząt. I teraz zebrało się z tuzin uliczników, rozprawiających głośno.

Niepodobało się to bardzo rządzcy sir Karola Andinnian, mieszkającemu w domku Klematytowym; wyszedł więc i najprzód grzecznie przekładał gawiedzi że niedorzeczna ciekawość bardzo często złe za sobą dla dopuszczających się jej pociąga następstwa, a gdy to nie skutkowało, poczęstował nieproszonych gości długim batem który trzymał w ręku. Ulicznicy rozbiegli się z krzykiem.

— Głuptasy! rzekła miss Żemina, gdy rządzca wytłomaczył jej co zaszło, poczem spokojnie wracał do kotczu. Ojciec mój zapewnia że policya jedynie po to udała się do Labiryntu, aby zakreślić granicę parafii.

W tejże chwili, z niewymownem zadziwieniem Żeminy, krata Labiryntu roztwarła się nagle i wybiegła z za niej mistress Grey załamując dłonie, a cała jej postać i rozrzucone złote włosy, zdradzały rozpaczliwy niepokój.

Żemina zaledwie zrozumiała bezładnie wyjąkane przez nią słowa. Dziecię jej dostało konwulsyi... co prędzej doktora... nie miała kogo posłać.

— Jestem córką doktora Moore... biegnę natychmiast po ojca... Niech pani tymczasem wsadzi dziecko w ciepłą kąpiel, to najlepiej uspokaja konwulsye. Poszłabym chętnie pomagać pani, ale nie ma kogo posłać po ojca.

Mistress Grey podziękowała jej serdecznie, prosząc aby jak najśpieszniej biegła po doktora i zamykając kratę dodała iż służąca właśnie przyrządza kąpiel — poczem jak strzała pobiegła ku domowi.

Żemina pobiegła co tchu i na szczęście spotkała na drodze ojca i ciotkę, idących na obiad do Foxwood-Court. Doktór poszedł natychmiast do Labiryntu, polecając miss Diannie aby usprawiedliwiła nieobecność jego w Foxwood-Court.

Obiad kończył się gdy przyszedł; dziecku było lepiej, ale obawiał się drugiego ataku; w takim razie życiu biedactwa groziłoby niebezpieczeństwo, gdyż i bez tej choroby chłopczyna był bardzo wątły i delikatny.

Jak łatwo się domyśleć, przez cały wieczór wyłącznie prawie o tem tylko mówiono; nikt z zaproszonych gości ani się domyślał jak przykrem to było dla pana i pani domu; dla sir Karola z powodu niepokoju jaki budziła w nim każda wzmianka o Labiryncie, dla Łucyi z powodu zmartwień i zazdrości jakich stał się dla niej powodem. Doktór rozwodził się nad osamotnieniem mistress Grey, nad jej pięknością i słodyczą charakteru, nad bezgraniczną miłością macierzyńską i wielką boleścią jaka ją przejmowała chorobą dziecka. Sir Karol zaledwie kiedy niekiedy przemówił słówko i to tylko gdy był do tego zmuszony; Łucya w milczeniu krzyż swój dźwigała. Każde słowo wydawało jej się znieważaniem jej uczuć i cierpień.

Pomimo nalegań sir Karola, doktór jadł tylko ostatnią potrawę, i wypiwszy kawę, pożegnał się i odszedł; jednocześnie i miss Dianna, przeprosiwszy lady Andinnian, włożyła kapelusz i wyszła za nim.

— Wszak idziesz do Labiryntu, Williamie? zapytała brata.

— Tak, Dianno.

— W takim razie pójdę z tobą. Ta nieszczęśliwa mistress Grey nie ma tam nikogo prócz służących, uważam że miłość bliźniego nakazuje mi odwiedzić ją i starać się pocieszyć.

Na twarzy doktora ukazał się wyraz zadowolnienia.

— Bądź ostrożna, Dianno, rzekł przybierając ton poważny, wszak wiesz co mówią świętobliwe owieczki pana Cattacomb?... posądzają piękną mistress Grey że przestępuje przepisy moralności ..

— Są to wszystko złośliwe żmije! zawołała miss Dianna, lubiąca zawsze wyrażać się dobitnie. Gdyby te świątobliwe, jak je nazywasz, panie, mniej modliły się ustami, a miały w sercu więcej trochę tej miłości chrześciańskiej tak zalecanej przez świętego Pawła, byłyby milszemi Bogu i ludziom. Zresztą jakiebądź byłoby postępowanie mistress Grey jest nieszczęśliwą a więc zasługuje na politowanie, i dla tego pójdę do niej!... Ale Williamie...

— Co takiego?

— Nie pojmuję co jest lady Andinnian? Co raz bledsza i szczuplejsza, zdaje się że niknie w oczach.

Miss Blake wróciła do Foxwood-Court z wiadomością nader ważną i nader pocieszającą że wielebny Gwidon Cattacomb jest trochę zdrowszy! Państwo Sumnor wyszli o dziesiątej, a Karol odprowadził ich aż do domku odźwiernego, ale przez roztargnienie wyszedł z odkrytą głową. Wracając po kapelusz, spostrzegł żonę zbliżającą się do klombu róż.

— Czy to ty Łucyo?... wyszłaś tak późno, nie zważając że mgła opada. Czegóż tu szukasz?

— Chciałam zerwać jedną z tych ostatnich róż dla Małgorzaty Sumnor, odpowiedziała. Sprawia jej to przyjemność gdy w czasie bezsennych nocy patrzy na kwiaty, mówiła że gdy jej wzrok zatrzymuje się na nich, może łatwiej wznosić się myślą ku niebu.

— Pozwól więc abym cię wyręczył, rzekł Karol, i wyszukawszy przy świetle księżyca najpiękniejszą różę, zerwał ją i podał żonie.

— Muszę tam pójść... Łucyo, rzekł gdy się zbliżali do schodów. Zapewnie wrócę póżno... Hewitt będzie na mnie czekał.

Nic nie mogło być boleśniejszem dla biednej Łucyi nad to co powiedział. Oddech jej zatrzymał się w piersiach, serce biło jak młotem.

— Niepotrzebnie czynisz mi podobne zwierzenia, odpowiedziała z gniewem, gdyż boleść przemogła w tej chwili jej cierpliwość.

Karol westchnął ciężko.

— Obowiązek nakazuje mi pójść do nich, i wyznaję, że dziwi mnie iż tego nie rozumiesz. Gdyby stan zdrowia dziecka pogorszył się w nocy, będę mógł przynajmniej pobiedz po pana Moore; wszak wiesz że tam nie miałby kto iść po niego.

Lady Andinnian pobiegła szybko do sieni, nie wyrzekłszy ani słowa, nie zwróciwszy oczu na męża.

Pokój w Labiryncie był słabo oświetlony, dokoła panowała ta uroczysta cisza jaka zwykle zalega domy w których śmierć jest przewidywana. Obawy pana Moore urzeczywistniły się na nieszczęście; dziecko dostało powtórnie konwulsyi, chwile jego życia były policzone. Leżało na kolanach matki otulone kołderką. Teraz twarzyczka jego była już spokojna; z uchylonych usteczek wychodził oddech słaby i co raz rzadszy. Miss Dianna, klęcząc przy nieszczęśliwej matce, starała się pocieszyć ją; doktór stał przy kominku z oczami zwróconemi na umierające dziecko; Anna Hopley sprzątała cicho różne niepotrzebne już przedmioty.

Nieszczęśliwa matka, blada i zmieniona, pochyliła się nad swym skarbem który za chwilę już na zawsze utracić miała. Boleść rozdzierająca jej serce zdradzały tylko głuche łkania i jęki wyrywające się z piersi; oczy wyrażały smutek dochodzący do rozpaczy. Wiedziała, niestety, co ją czeka; straciła ostatnią iskierkę nadziei! Pan Moore widząc że nadchodzi stanowcza chwila i wiedząc jaki to bolesny i straszny widok tej ostatniej walki życia ze śmiercią, pragnął aby mistress Grey oddała komuś dziecię. Miss Dianna starała się także skłonić ją do tego.

— Pani musiała się już bardzo zmęczyć; niech mi pani odda dziecko choćby na parę minut tylko, aby trochę odpocząć.

— Tak, mistress Grey, pozwól się wyręczyć, rzekł doktór.

Podniosła głowę i rzuciła na nich błagające spojrzenie, tuląc do siebie swój skarb najdroższy.

— Nie odbierajcie mi go, przez litość. Pragnę go mieć przy sobie aż... do końca... wszak opuszcza mnie na zawsze, rzekła z boleścią.

— Nie na zawsze, droga mistress Grey, pocieszała miss Dianna; wprawdzie on nie będzie mógł wrócić do ciebie, ale ty połączysz się z nim kiedyś w królestwie wiekuistej chwały.

Ktoś otworzył drzwi cicho i stanął na progu.

Jakkolwiek umierające dziecię pochłaniało całą uwagę mistress Grey, spojrzała natychmiast w tę stronę, skinęła na wchodzącego aby się cofnął, a na twarzy jej ukazał się wyraz najgłębszego przerażenia. Sądziła że to wchodzi osoba która nie powinna ukazywać się przy obcych, jeżeli nie chce utracić wolności a może i życia; ale był to sir Karol.

— Karolu! on umiera! krzyknęła zapominając że nie są sami, i łzy wytrysnęły z jej oczu. Moje dziecię umiera!...

— Ubolewam bardzo nad tem, mistress Grey, odpowiedział Karol nie tracąc przytomności, chociaż spostrzegł że tak poufałe odezwanie się do niego zadziwiło miss Diannę i doktora.

Zaczął natychmiast rozmawiać zniżonym głosem z panem Moore, aby Róża miała czas ochłonąć z przestrachu, jakim ją przejęły jej własne słowa, po czem znów głuche zapanowało milczenie. Karol przyglądał się przez chwilę bladej twarzyczce dziecięcia, mającej stać się wkrótce twarzyczką aniołka, potem położył lekko rękę na jego główce i trzymał ją tak przez parę minut, a z wyrazu jego twarzy łatwo było poznać że modli się w myśli.

— Tam w niebie będzie szczęśliwszy niżby mógł być tu na ziemi, rzekł do biednej matki, mając już wyjść z pokoju. Na tym świecie pełno krzyżów i cierni... niektórzy z nas przekonali się o tem, niestety, z własnego doświadczenia... Bóg zabiera go aby nie zaznał goryczy życia.

Po drugiej stronie domu sir Adam chodził w koło po pokoju jak lew uwięziony w klatce, gdy Karol wszedł, nagle zwrócił się ku drzwiom.

— Powiedz, Karolu, czy może być położenie cięższe nad moje! zawołał z gniewem i boleścią. Muszę ukrywać się ciągle!... dziecko moje kona! a ja nie mogę być przy niem, zobaczyć go, zanim wyda ostatnie tchnienie! Czy ten nieznośny doktór wraz ze swą siostrą nie odejdą dziś wcale?

— Zatrzymuje ich tu jedynie współczucie dla Róży, odpowiedział łagodnie Karol. Ach! Adamie, ubolewam szczerze nad tobą i podzielam twój smutek!

— Nie! zawołał porywczo Adam, nikt nie może czuć tego co ja czuję i dla nikogo los nie okazał się równie okrutnym! Niebo obsypując innych swemi łaskami, dla mnie nie ma litości! Wszystko co już przecierpiałem, nie zdołało rozbroić jego gniewu... zabiera mi jeszcze syna!

— Jest to bez wątpienia cios straszny, Adamie, ale któż z nas zdoła zrozumieć wyroki Stwórcy? Może zabiera do siebie twe dziecię jako ojciec troskliwy i kochający, chcąc go uchronić od smutków i nieszczęść jakie my tu ponosimy? Wtenczas dopiero zrozumimy dla czego Bóg rozporządził tak a nie inaczej, gdy dusze nasze ulecą także do krainy wieczności.

Sir Adam usiadł, zakrył twarz rękami i pogrążył się w milczeniu którego Karol nie chciał przerywać.

Po niejakim czasie usłyszeli skrzypnięcie drzwi do sieni. Anna Hopley odprowadzała doktora i miss Diannę aby im otworzyć bramę i zamknąć ją za nimi; Adam zerwał się i chciał wybiedz z pokoju, ale brat go zatrzymał.

— Jeszcze chwilkę cierpliwości, Adamie. Musisz zaczekać dopóki Anna nie wróci i nie zarygluje drzwi; pomyśl tylko jakie pociągnęłoby to za sobą następstwa, gdyby cię ktoś zobaczył.

Adam uznał słuszność przestrogi brata, zgodził się z koniecznością i wyszedł wtenczas dopiero gdy zamknięto drzwi i założono je żelazną sztabą.

Dziecko leżało w kolebce nieruchome już i sztywne, twarzyczka jego przybrała wyraz niczem niewzruszonego spokoju. Róża klęczała przy niem z twarzą ukrytą w dłoniach. Sir Adam stanął przy kolebce wpatrując się w martwe rysy swej dzieciny... nastąpiła chwila głębokiego, przerażającego milczenia, a potem wybuch strasznej boleści. Łzy płynące z oczu mężczyzny zdolne są wzruszyć najzimniejsze serce, gdyż są zawsze oznaką srogich katuszy moralnych.

— Karolu, był to nasz skarb jedyny, całe nasze szczęście! wyszeptał łkając; a ja nie mogłem być przy jego śmierci!...

Oczy Karola zaszły łzami, uchwycił rękę Adama, usiłując pocieszyć go i uspokoić. Niestety! trudno tego dokazać w pierwszych chwilach tak ciężkiego smutku.

— Adamie, rzekł, staraj się pamiętać o tem że tu na ziemi nie mógłbyś znaleźć takiego szczęścia jakie osiągnie w niebie. Obecnie znajduje się już wśród aniołów otaczających tron Boga.

W tymże samym czasie lady Andinnian z Foxwood-Court zostawała pod wpływem najsilniejszego oburzenia. Nie położyła się wcale, czując że nie będzie mogła zasnąć. Nigdy jeszcze nie była do tego stopnia rozgniewaną i mniej zdolną do zapanowania nad sobą;—sir Karol nie wracał. Czyżby zamierzał pozostać w Labiryncie do samego rana?

— Tak, to rzecz naturalna... musi przecie być przy śmierci swego dziecka! mówiła do siebie chodząc prędko po pokoju. Musi także *ją* pocieszać!... gdy tymczasem ja...

Łzy głos jej stłumiły. Gorzkie, dręczące myśli snuły się w jej głowie. Czem ulegliej i cierpliwiej znosiła swe cierpienia, tem cięższem jeszcze spadały na nią brzemieniem... rozpacz ją opanowała; zadawała sobie pytanie czemu niebo jest dla niej tak bezlitośnem?

XVIII.

Pan Tatton odbiera niespodziewane wiadomości.

Nie umiemy powiedzieć co pan Tatton zamierzał czynić dalej i o ile zgubne mogły być następstwa jego dłuższego pobytu w Foxwood; to pewna że nie wyjechał jeszcze. Wszystko zresztą wróciło do pierwotnego stanu; nie nachodzono już Labiryntu, pan Cattacomb wyzdrowiał, a zapał jego owieczek nie ostygł jeszcze.

Może pan Tatton oczekiwał tylko na jakiś szczęśliwy dla niego zbieg okoliczności; bo jakkolwiek mistress Jinks i wszyscy w ogóle byli przekonani że myśli o tem jedynie aby korzystać jak najwięcej ze świeżego powietrza—i zabawiać się miejscowemi ploteczkami, nie podpada przecież wątpliwości że układał jakieś plany w celu pochwycenia swej ofiary. Nie domyślał się jednak że te plany spełzną na niczem.

Pewnego dnia rano, odebrał od pana nadintendenta Game całkiem niespodziewaną i odurzającą wiadomość: że Salter nie ukrywał się nigdy w Foxwood i umarł w Kanadzie.

Pan Tatton scanął jak osłupiały; gdyby bomba rozpękła się przy jego nogach, nie mógłby już doznać silniejszego wrażenia. Że wiadomość ta była prawdziwą, nie mógł nawet wątpić o tem. Jeden z wyższych ajentów londyńskiej policyi, którego wysłano z jakiemś poleceniem do Kanady, a który znał dobrze Salter'a, spotkał go przypadkiem już dogorywającego i był obecnym przy jego śmierci.

— Nigdy w życiu jeszcze nie wyprowadzono mnie tak w pole! zawołał pan Tatton gdy nakoniec ochłonął trochę z zadziwienia...i pragnę z całego serca aby się to nie powtórzyło już nigdy! Ale... cóż u licha, znaczy w takim razie ta jakaś tajemnica dotycząca Labiryntu?

W każdym razie nie go to już nie obchodziło obecnie, a jednak... gdyby mógł rozporządzać swym czasem i posiadał więcej pieniędzy, starałby się dla własnego zadowolnienia rozwiązać tę zagadkę. Obecnie nie mu już nie pozostawało jak tylko opuścić Foxwood; przywołał więc wdowy Jinks, uwiadomił ją że pilny bardzo interes nakazuje mu wyjechać niezwłocznie, i zaczął pakować swe rzeczy. Mistress Jinks przyjęła tę wiadomość z takiem uczuciem jakby jej ciężką wyrządzano krzywdę; żal jej było tak mało wymagającego i tak uprzejmego lokatora.

Traf zrządził że pan Tatton dążąc do stacyi, spotkał sir Karola. Serce Karola zaczęło bić żywiej gdy zobaczył torbę podróżną w ręku detektiwa; widok ten obudził w nim błogą nadzieję.

— Dzień dobry, sir Karolu. Wprowadziłeś nas sir w błąd z tym Labiryntem!

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, panie Tatton, odpowiedział Karol.

— Salter jest w Kanadzie... czyli raczej był, bo już zakończył tam życie.

— Doprawdy!

— Tak, sir Karolu, to już nie ulega wątpliwości, znajdujący się tam obecnie jeden z wyższych ajentów naszej policyi, był świadkiem jego śmierci. Naraziłeś nas, sir, na niepotrzebne trudy.

— Jeżli kto pod tym względem zawinił, to pan jedynie, tworząc mylne przypuszczenia, odpowiedział sir Karol.

— Ileż to czasu straconego marnie!... kilka tygodni... i to bezpotrzebnie! Nigdy jeszcze nie spotkało mnie nic podobnego.

— Może pan mieć o to protensyą tylko do siebie lub też do tych którzy tu pana przysłali. Ja nie poczuwam się do winy, panie Tatton. Gdy po raz pierwszy miałem przyjemność rozmawiać z panem, zaręczyłem panu słowem honoru że nie ma tu Salter'a.

— To prawda, sir Karolu... ale zechciej mi powiedzieć z czem mieszkańcy Labiryntu ukrywają się tak starannie?

— Nie mam zwyczaju wglądać w osobiste sprawy moich lokatorów, odpowiedział wyniośle sir Karol, ale jeśli nawet istnieje tam jakaś tajemnica — której jednak, jak sądzę, nikt się tam nie domyśla prócz pana — to nie może mieć żadnej styczności z Salter'em. Czy pan już stanowczo opuszcza Foxwood?

— Tak się zdaje, sir Karolu, odpowiedział Tatton wskazując na rzeczy które niesiono za nim;—widząc już że zwierzyna znajduje się na drugim końcu świata, i do tego już pod ziemią, nie będziemy jej tu szukać naprożno.

Pożegnali się bardzo życzliwie; ze strony detektiwa wynikało to z wrodzonej mu uprzejmości, a ze strony sir Karola z powodu radości jaką napełniała go myśl że brat jego będzie bezpieczniejszym.

W kilka minut poźniej, sir Karol spotkał swego rządcę i zamierzał właśnie uwiadomić go o śmierci Salter'a, gdy pan Smith odezwał się:

— Domyślam się, sir Karolu co mi chcesz powiedzieć. Odebrałem właśnie dziś rano list od jednego z mych krewnych zawierający tę wiadomość. Sądzę że to nas uwolni od obecności Tatton'a? Zdaje mi się, sir Karolu, że to z nim rozmawiałeś przed chwilą.

— Tak, szedł właśnie do kolei.

— Co do biednego Salter'a, to śmierć jest dla niego prawdziwem dobrodziejstwem! lepiej mu w grobie niżeli mogło być na ziemi.... Ale zkąd

u licha przyszła komuś w Scotland-Yard myśl szukania go tu u nas?... pozostanie to dla mnie na zawsze nieodgadnioną zagadką. Czy Tatton wyjechał już bezpowrotnie sir Karolu?

— Tak przynajmniej mówił.

— Tym sposobem sir Adam będzie trochę swobodniejszym, i nie narażałby się na tak wielkie niebezpieczeństwo jak dotąd gdyby chciał opuścić Labirynt.

Karol wstrząsnął smutnie głową. Zachodziła teraz inna ale równie ważna przeszkoda — Adam był chory.

Biedny sir Adam wystawiony na tysiączne niebezpieczeństwa, nie mający prawie jednej spokojnej chwili, stracił zupełnie zdrowie, co było aż nader widocznem tak dla niego jak i dla otaczających go osób. On sam zgadzał się ze swym losem z tym stoicyzmem, którego dawał ciągłe dowody, ale Karol tracił prawie głowę myśląc jak ciężkie kłopoty pociągnie za sobą choroba. Wiedział że Adam potrzebował koniecznie zasięgnąć rady doktora, a pomimo to obawiał się zawezwać go do niego.

Ileż to trwogi i niepokoju przysporzyła jedna tylko wizyta doktora Cavendish!...

Mały Karolek Andinnian spoczywał już na cmentarzu w Foxwood, w miejscu przeznaczonem wyłącznie dla rodziny Andinnian. Anna Hopley pozwoliła sobie wybrać mu tam miejsce na grób, co wywołało sprzeczkę między nią i bedelem, który oświadczył jej wyraźnie że nie pozwoli pochować żadnego w święcie dziecka, w miejscu będącem wyłączną własnością rodziny Andinnian. Pomimo to Anna obstawała koniecznie aby dziecko było pochowane tam a nie w innem miejscu, pod cieniem płaczącej wierzby, która będzie chronić grób jego od palących promieni słońca. W końcu sir Karol załagodził sprzeczkę; gdyż skoro bedel przedstawił mu życzenie Anny, pozwolił zastosować się do niego. Następnie Anna Hopley udała się do kamieniarza, i kazała położyć na grobie białą marmurową płytę, na której wyryto tylko litery „K. A.“ i datę śmierci.

Biedna Róża nie miała już nikogo na świecie prócz męża; on też był przedmiotem jej najczulszej troskliwości. Nie zawsze był cierpiącym; czasami zdawał się równie zdrowym i żwawym jak dawniej; potem następowały znów mniej więcej silne ataki, przejmujące nieszczęśliwą jego żonę co raz cięższym niepokojem.

Pewnego dnia po południu Karol wyjechał z żoną na spacer, i przejeżdżając koło Labiryntu zobaczył Annę Hopley stojącą w otwartej bramie. Było to na drugi dzień po wyjeździe pana Tatton. Uderzył go niezwykły wyraz jej oczu, wyczytał w nich jakiś ciężki niepokój i prośbę aby pośpieszył im z pomocą. Czując się swobodniejszym po odjeździe ajenta policyi, zatrzymał natychmiast konia.

— Wybacz, Łucyo, że pozostawię cię na chwilę samą... zdaje mi się że Anna Hopley pragnie mi coś powiedzieć.

Oddał cugle żonie i wyskoczył z poney-chaise. Gorący rumieniec wystąpił na twarz Łucyi. Była to zniewaga przewyższająca wszystkie jakich dotąd doznała... ośmielił się zatrzymać przed tą bramą!... nie zważając na to że ona z nim jedzie! Pan Smith, stosownie do swego zwyczaju, stał w oknie z fajką na długim cybuchu, był świadkiem tego co ją spotkało, i zapewnie czynił w myśli różne uwagi.

— Dostał znów bardzo silnego ataku, szepnęła Anna Hopley. Czy nie mógłbyś wejść, sir Karolu? Boję się aby to nie był ostatni.

— Przyjdę za chwilę, odpowiedział Karol i wrócił do powozu, właśnie w chwili gdy Łucya chcąc się wyzwolić z tak przykrego położenia, zamierzała odjechać nie czekając na niego.

Od owej nocy w której dziecko umarło, stosunki Karola z żoną pogorszyły się jeszcze. Łucya unikała męża, a gdy przemówił do niej odpowiadała mu krótko i niechętnie. Nie można się było spodziewać aby przyszło pomiędzy nimi do jakiegoś wyjaśnienia, raz że Karol nie starał się już o to, powtóre, że gdyby nawet pragnął tego najgoręcej, ona uciekłaby od niego jak tylko zacząłby o tem mówić. W tym dniu po raz pierwszy po długim przeciągu czasu wyjechała z nim na spacer, i wracali właśnie do domu.

Całe zachowanie Łucyi, gdy wrócił do niej, musiałoby zniechęcić go do wszelkich zwierzeń gdyby nawet był do nich więcej usposobionym jak w obecnej chwili. Tak bezlitośnie i niemal ze wstrętem przyjmowała wszystkie wiadomości dotyczące jego brata, że mu to zamykało usta. Odwiózł żonę do Foxwood-Court i wysiadł chcąc podać jej rękę, ale Łucya wyskoczyła z poney-chaise nie dotknąwszy jej nawet. Karol oddał lejce groomowi i pośpieszył do Labiryntu.

Adam dostał znów tak strasznego ataku iż zdawało się że go nie przetrzyma, jednakże tym razem odzyskał jeszcze przytomność. Patrząc na Różę można było sądzić że i ona także jest bliską śmierci; zabijały ją coraz nowe zmartwienia, ciągły niepokój i obawy; straciła już dziecko, a lada chwila mogła stracić męża. Była podobniejszą do widma niż do żyjącej istoty.

— Różo, rzekł Karol, gdy Adam odzyskał już przytomność, zdaje mi się że moglibyśmy zaufać panu Moore. Wszak rozumiesz, Adamie, co mówię? Jestem pewnym że można mu zawierzyć.

— Zaufać?... w czem, i dla czego? zapytał Adam już nie swym silnym i donośnym głosem, ale słabym i omdlewającym.

Leżał na sofce, Róża i Karol siedzieli tuż przy nim.

— Abyś mógł zasięgnąć jego rady, leczyć się... Jestem pewny że choć dowie się kim jesteś, zachowa najgłębsze milczenie. Moore należy do rzędu ludzi którym można spokojnie powierzyć swe życie.

— Po cóż mam się narażać na nowe niebezpieczeństwo, mój poczciwy Karolu, nie mam ochoty spędzić w więzieniu ostatnich chwil życia.

Podług Karola nie można się było tego obawiać; doktór Moore był człowiekiem uczciwym, szlachetnym i posiadającym wiele czucia. Czem dłużej zastanawiał się nad tem, tem silniejszego nabierał przekonania że można było śmiało zaufać doktorowi. Róża oznajmiła także iż pan Moore sprawił na niej bardzo korzystne wrażenie, że tak on jak jego siostra zdają się być ludźmi prawdziwie zacnymi i niezdolnymi zdradzić powierzonej im tajemnicy. Anna Hopley podzielająca także to zdanie, dodała:

— O ile mi się zdaje, nie ma na świecie doktora—ma się rozumieć że mówię tu o ludziach uczciwych — któryby nie dochował wiernie podobnej tajemnicy, choćby to był człowiek zimny jak głaz, a pan Moore jest bardzo zacnym i dobrym człowiekiem.

Stanęło na tem że Karol miał się rozmówić z doktorem i zbadać starannie jego usposobienie zanim przystąpi do zwierzeń.

— Co prawda, nie na wiele się to przyda, rzekł Adam, odzyskujący swe zwykłe usposobienie, w miarę jak wracały mu siły. Prawdopodobnie pożegnam was już niedługo; wolałbym jednak umrzeć tu, na mojem łożku, niż na tapczanie w celi więziennej. Ale zrób jak chcesz, Karolu, stary mój druhu, dla czegóż nie masz przekonać się z własnego doświadczenia, o ile można liczyć na charakter pana Moore?

— Żałuję bardzo że mi to prędzej nie przyszło na myśl, zawołał Karol, ale tak straszne grożące nam niebezpieczeństwo, tłumiło wszelkie inne obawy.

— Niech cię to nie martwi, dobry mój bracie, wątpię aby wszyscy doktorzy w całej Anglii mogli mnie uleczyć... Wyroki nieba są nieodwołalne.

— To nie dobrze, odezwała się Anna Hopley, że pan sobie zaraz przedstawia rzeczy w tak czarnych kolorach; nie może to panu dopomódz do odzyskania zdrowia.

— W czarnych kolorach!... Ale bynajmniej, Anno, odpowiedział Adam głosem tak wesołym jak śpiew skowronka! Nie zaprzeczysz przecie że łepiej dostać się do nieba niż do więzienia na wyspie Portland?

Karol wyszedł chcąc wywiązać się ze swego zobowiązania. Sam żądał aby Adam zgodził się na zawezwanie lekarza, a jednak obawiał się tego; wszakże szło o rzecz tak wielką, o spokój i bezpieczeństwo jego nieszczęśliwego brata! Był tak ostrożnym że nie chcąc aby go widziano wchodzącego do doktora, napisał do niego bilecik, prosząc aby przyszedł do Foxwood-Court.

Pan Moore przybył tam o szarej godzinie i wprowadzono go prosto do gabinetu Karola. Idzi przyniósł natychmiast lampę ale pan kazał mu zabrać ją napowrót.

— Bez światła łatwiej mi będzie mówić z panem o tem co mu chcę powiedzieć, rzekł Karol, chcąc może wskazać przez to doktorowi że przedmiot ich rozmowy będzie ważny i drażliwy. Usiedli przy stole naprzeciwko siebie.

— Panie Moore, odezwał się Karol po chwili wahania, czy powierzono ci kiedyś tajemnicę od której zależało czyjeś życie?.

Pan Moore milczał chwilę; zadziwiło go to pytanie, mniemał że odnosi się ono do jego powołania. Sądził że idzie tu o chorobę, w skutku której lady Andinnian widocznie niknie w oczach.

— Zdaje mi się, sir Karolu, że nie ma ani jednej choroby trapiącej ludzkość, w której nie zasięgano-by mojej rady w ciągu mego długiego lekarskiego zawodu...

— Nie idzie tu o żadną chorobę, przerwał Karol, widząc że go nie zrozumiano; mówię tu o tajemnicy... o tajemnicy rzeczywistej i niebezpiecznej gdyż od jejj dochowania zależy śmierć lub życie osoby której ona dotyczy.

Nastąpiło znów milczenie. Pan Moore wpatrywał się w twarz sir Karola.

— Wytłomacz się jaśniej, sir Karolu, jeżeli chcesz abym cię zrozumiał.

Karol ostrożnie przystępował do rzeczy; ważył każde słówko, obawiając się powiedzieć coś takiego co mogłoby zaszkodzić bratu.

— Oto jak rzeczy stoją, panie Moore — powierzono mi nader niebezpieczną tajemnicę, dotyczącą... jednego z moich przyjaciół, na którym na nieszczęście, ciąży surowy wyrok karny, od którego skutków chciałby się uchronić... słowem ukrywa się starannie przed wszystkimi, z wyjątkiem paru osób czuwających nad jego bezpieczeństwem. Czy zechciałbyś pan zobowiązać się do najściślejszego zachowania tej tajemnicy, gdybym uznał za rzecz konieczną powierzyć ją panu?... lub też uważałbyś że obowiązek sumienia nakazuje ją wyjawić?

— Broń Boże! nigdy! zawołał doktór, nie mam zwyczaju zdradzać położonego we mnie zaufania; byłoby to niezgodne z mojem powołaniem. Możesz być spokojnym sir Karolu... Idzie tu zapewnie o jakieś długi?

— A gdyby nie szło o długi... gdyby ten gentleman popełnił morderstwo, panie Moore? Jak postąpiłbyś w takim razie?

— Tak samo jak i w poprzednim. Nie potrzebuję wglądać w to czy ktoś cierpi w skutek swych grzechów lub zwykłych kolei losu, a nie będąc ajentem policyi, nie mam obowiązku oddawać mych bliźnich w ręce sprawiedliwości. Ale... czy też ten detektiw z Londynu, niejaki Tatton, nie został tu przysłanym w celu wyśledzenia tego gentlemana?

Pan Moore mówił to wszystko tonem spokojnym, nie przypuszczając aby to była sprawa obchodząca tak żywo sir Karola.

— Tak więc, mówił dalej Karol ciszej jeszcze, ktoś potrzebuje się ukrywać, tak pan jak ja mamy to przekonanie że nie jesteśmy bynajmniej obowiązani wskazać go policyi. Co więcej, dopomagam mu do ukrywania się przed jej wzrokiem i pragnę abyś pan czynił toż samo skoro cię uwiadomię o wszystkiem.

— Dopomogę ci z całego serca, sir Karolu, są zapewnie jakieś powody zniewalające cię do tych zwierzeń?

— Tak, konieczność zmusza mnie do tego. Zachorował ciężko i potrzebuje pomocy lekarza, zdaje mi się, niestety, że dni jego są policzone, co zniewala tem więcej do słuchania jedynie głosu ludzkości.

— Rozumiem. Pragniesz, sir Karolu, abym go odwiedził i starał się uleczyć. Przyjmuję... i przyrzekam uczynić wszystko co będzie w mej mocy.

— Jest to... może to co powiem wpłynie na zmianę twego postanowienia, panie Moore... jest to zbiegły więzień.

— I cóż to znaczy?... Wszakże i on posiada ciało i duszę które potrzebują pomocy i pociechy, odpowiedział doktór, na którym ta rozmowa zaczęła czynić silne wrażenie, obudzając jednocześnie ciekawość. Dołożę wszelkich starań aby mu przynieść ulgę.

— I dochowasz wiernie tajemnicy?

— Tak, przysięgam na to. Jakże Stwórca mógłby mi przebaczyć moje względem niego przewinienia, gdybym nie miał miłosierdzia nad memi bliźnimi, i nie uwzględniał ich słabości!

— Więc mogę panu zaufać?

— Najzupełniej. Ale widzę że wahasz się jeszcze, sir Karolu... nie mogę cię jednak zapewnić inaczej, jak tylko zaręczając że możesz spuścić się na mnie jak na siebie samego. Ani jednem słowem, ani jednym nierozważnym postępkiem nie pogorszę jego położenia, nie powiększę grożącego mu niebezpieczeństwa, co więcej w razie potrzeby uczynię wszystko, co będzie w mej mocy aby go ocalić. A teraz powiedz mi śmiało kto to jest?... Czy nie będzie to czasem ten chory gentleman z Labiryntu, do którego wzywano doktora Cavendish?... Przyznaję że wszystko co słyszę od pewnego czasu o Labiryncie, obudziło moją ciekawość, a obecnie doprowadziło do tego wniosku.

— Tak, to on właśnie.

— Co prawda, byłem pewnym że się tam ktoś ukrywa. Czy to pan Grey?... ojciec zmarłego w tych dniach dziecięcia?

— Tak, tylko nie nazywa się Grey.

— A więc jakież jest rzeczywiste jego nazwisko?

Karol obejrzał się w koło, jakby się lękał aby ktoś nie podsłuchał słów jego, a następnie rzekł z widocznym niepokojem i wzruszeniem.

— Chcę panu powierzyć nader ważną tajemnicę, wszak mogę na to rachować że pozostanie na zawsze nienaruszoną?

— Przyrzekam to raz jeszcze. Nie możesz powątpiewać, sir Karolu, że dotrzymam słowa.. mów śmiało... któż to jest?

— Mój brat. Sir Adam Andinnian.

Doktór zerwał się z krzesła; zdawało mu się że Karol postradał zmysły. Patrzył na to własnemi oczyma gdy Adama spuszczano do grobu.

— Cicho!... cicho, przez litość. Tak to mój nieszczęśliwy brat.

— On!... to chyba zmartwychwstał! zawołał doktór odurzony tą wiadomością.

— Nie, tylko nie umarł wcale.

Udali się razem do Labiryntu późnym już wieczorem. Karol opowiedział wszystko panu Moore; nie wyjawił mu tylko jakim sposobem Adam ukrywa się tam przed ludźmi, o czem za obrębem Labiryntu wiedziały tylko trzy osoby: Karol, Hewitt i pan Smith; jednak później doktór dowiedział się i o tem. W zawodzie lekarskim nasuwa się często sposobność poznania różnych tajemnic rodzinnych; trafiało się to często i panu Moore, ale nigdy nie zdarzyło mu się usłyszeć nic równo nieprawdopodobnego.

Sir Adam nie miał już tak chorobliwej cery jak zaraz po ataku, i ubrał się we frak stosownie do swego zwyczaju. Korzystając z oddalenia się pana Tatton, wrócił do swych nawyknień i zaczął znów zaniedbywać niezbędnej ostrożności. Pan Moore zobaczył znów tegoż samego gentlemana wysokiego wzrostu, dystyngowanej powierzchowności i z pięknemi białemi zębami, którego spostrzegł nad schodami kilka tygodni temu; zachodziła ta jedynie różnica że teraz twarz jego była bez porównania szczuplejsza. Gdy weszli do saloniku na pierwszem piętrze, Adam powitał ich stojąc przy drzwiach wyprostowany i z podniesioną głową. Nie przyjął ręki którą mu pan Moore podawał.

— Czy pan wie wszystko? zapytał.

— Wszystko, sir Adamie.

— I nie jesteś, pomimo to, moim nieprzyjacielem?

— Przeciwnie, sir Adamie, jestem twoim przyjacielem, mogę cię zapewnić że nie posiadałeś nigdy wierniejszego.

Podali sobie ręce.

— Nie jestem tu sir Adamem, doktorze... jestem panem Grey... Ah! jakież ja tu wiodę życie!

— Życie które musiało cię zabić, pomyślał doktór siadając. Czemu nie wezwałeś mnie pan prędzej?

— Obawialiśmy się, doktorze. Wierzaj mi, lękałbyś się własnego cienia gdybyś się znajdował na mojem miejscu i w mojem położeniu; a prócz tego choroba rozwinęła się bardzo szybko. Nie wiem, doktorze, jakim sposobem potrafisz odwiedzać mnie co dzień, w razie gdyby to było potrzebnem, nie rozbudzając tym sposobem ciekawości innych sąsiadów.

— O! nic łatwiejszego, odpowiedział doktór. Jeźli ktoś pytać mnie będzie, powiem że Mistress Grey jest cierpiąca... albo że leczę starego Hopley'a, cierpiącego na reumatyzm.

— Wybornie! doktorze, odpowiedział śmiejąc się Adam, złóż wszystko na Hopley'a. Jeźli choroba moja źle się skończy, wyniosą mnie ztąd i pogrzebią pod jego nazwiskiem.

Jakże go znalazłeś, doktorze? zapytał Karol niespokojnie gdy wyszli z Labiryntu.

— Nie mogę teraz powiedzieć nic stanowczego... potrzebuję widzieć go kilka razy, odpowiedział pan Moore, ale Karolowi zdawało się że pomimo ciemności, dostrzegł na jego twarzy jakiś złowrogi wyraz.

XIX.

Mistress Cleeve nie może dowiedzieć się prawdy.

Mistress Cleeve przyjechała do Foxwood. Bawiła czas jakiś w Londynie u swej siostry, lady Southall, i korzystając z tej sposobności, odwiedziła córkę. Zadrżała zobaczywszy Łucyę tak zmienioną. Wiadomo że nie od razu spostrzegamy korzystne lub niekorzystne zmiany w powierzchowności osób z któremi przestajemy ciągle, i dopiero po dłuższem rozłączeniu prawda uderza nas w oczy. Mistress Cleeve dostrzegła od pierwszego rzutu oka to, czego nikt z otaczających jej córkę nie widział tak dobrze; Łucya zmieniła się bardzo, śliczne jej oczy były podkrążone czarną obwódką; cała postawa zdradzała zupełny brak sił.

— Co tobie jest, drogie moje dziecko? zapytała gdy zostały same.

— Co mi jest?... zapytała udając że nie rozumie, pomimo że zarumieniła się silnie. Nic, mamo... nic zupełnie.

— To być nie może, Łucyo, musisz mieć jakieś fizyczne lub moralne cierpienia, inaczej nie wyglądałabyś tak jak wyglądasz.

— Tegoroczne upały osłabiły mnie bardzo, odpowiedziała Łucya.

— Nie, moja droga, muszą być jeszcze inne tego powody; nawet w czasie twej tak ciężkiej choroby nie zmizerniałaś tak bardzo.

Mistress Cleeve nie otrzymała jednak żadnego wyznania: Łucya zapewniała że nie czuje się słabą, nie pozostawało więc zaniepokojonej matce jak tylko zwrócić się do Teresy i od niej zażądać objaśnień.

Miss Blake zajęta własnemi interesami, wielebnym Gwidonem Cattacomb i kaplicą, nie zwracała na to uwagi jak wygląda Łucya. Złośliwość pobudzała ją do czynienia różnych spostrzeżeń dotyczących Karola i bezrozumnego zaślepienia jego żony. Notowała sobie w pamięci wszelkie ślady trosk i niepokoju malujące się na jego twarzy, i widziała oznaki wyrzutów sumienia, ale z twarzy Łucyi nic wyczytać nie mogła, zapewnie dla tego że w obec niej lady Andinnian starała się okazywać zawsze swobodną i wesołą. Zresztą miss Blake spędzała większą część dnia po za domem i miała tyle rożnorodnych zajęć, że myśląc o tem aby się z nich godnie wywiązać. nie miała czasu przyglądać się Łucyi.

(D. c. n.)



N. 3 i 4. Dwa bukiety kwiatów do ubrania sukni, kapelusza i t. p.



Opis do N. 33.

(Dokończenie.)

N. 34 i ryc. 40 w N-rze 34. Suknia ozdobiona haftem.

Model odrobiony był z atłasu w drobne paski i gładkiego, kolorowego kaszmiru. Spódnica z atłasu, u dołu oszyta była falbaną 28 cent. szeroką, w górze zmarszczoną, w połowie szerokości drobno splisowaną i przystębnowaną, u dołu oszytą szlakiem 13 cent. szerokim, haftu szwajcarskiego, robionego na batyście kremowym. Wyżej przód ułożony w 3 bufy 33 cent. szerokie, przedzielane 12 cent. szerokiemi przestębnowanemi odstępami. Kaszmirowe boki są zrobione każden z dwóch części 50 cent. długich, z plisowanych, do połowy długości do podszewki przyszytych od połowy w górę podwiniętych a końcami między szew tylnego bryta wszytych. Tylną draperyę układa się z bryta 114 cent. szerokiego a 140 długiego. Stanik z odcinaną baskiną oszyty szlakiem haftowanym 11 c. szerokim. Do przodów zakończonych fałdowanym garnirunkiem dodana szmizetka z atłasu; rękawy zdobią szlaki wązkie haftowane, i kokardy z atłasu w paski.

N. 35 Suknia ze stanikiem à panier.

Model odrobiony był z czarnej jedwabnej materyi, lecz fason ten nadaje się do satynki lub innego gładkiego materyału. Spódnica w koło ułożona jest w kontrafałdy, w dwóch częściach długości zeszyte, a w trzeciej luźno puszczone i sutą ruszą koronkową oszyte. Pod stanik z szalowym kołnierzem daje się szmizetkę; do przodów i boczków dodaje się materyału na panier. Szeroka szarfa upięta na baskinie pleców zastępuje tylną draperyę. Na modelu bufowana szmizetka była z bladoróżowego surah, fryzka koronkowa.



N. 1. Kosz do papierów ozdobiony lambrekiną. Patrz ryc. 2.



N. 5. Girlanda do sukni.

Opis do N. 34.

N. 6, 29 i 39. Suknia z vêtement.

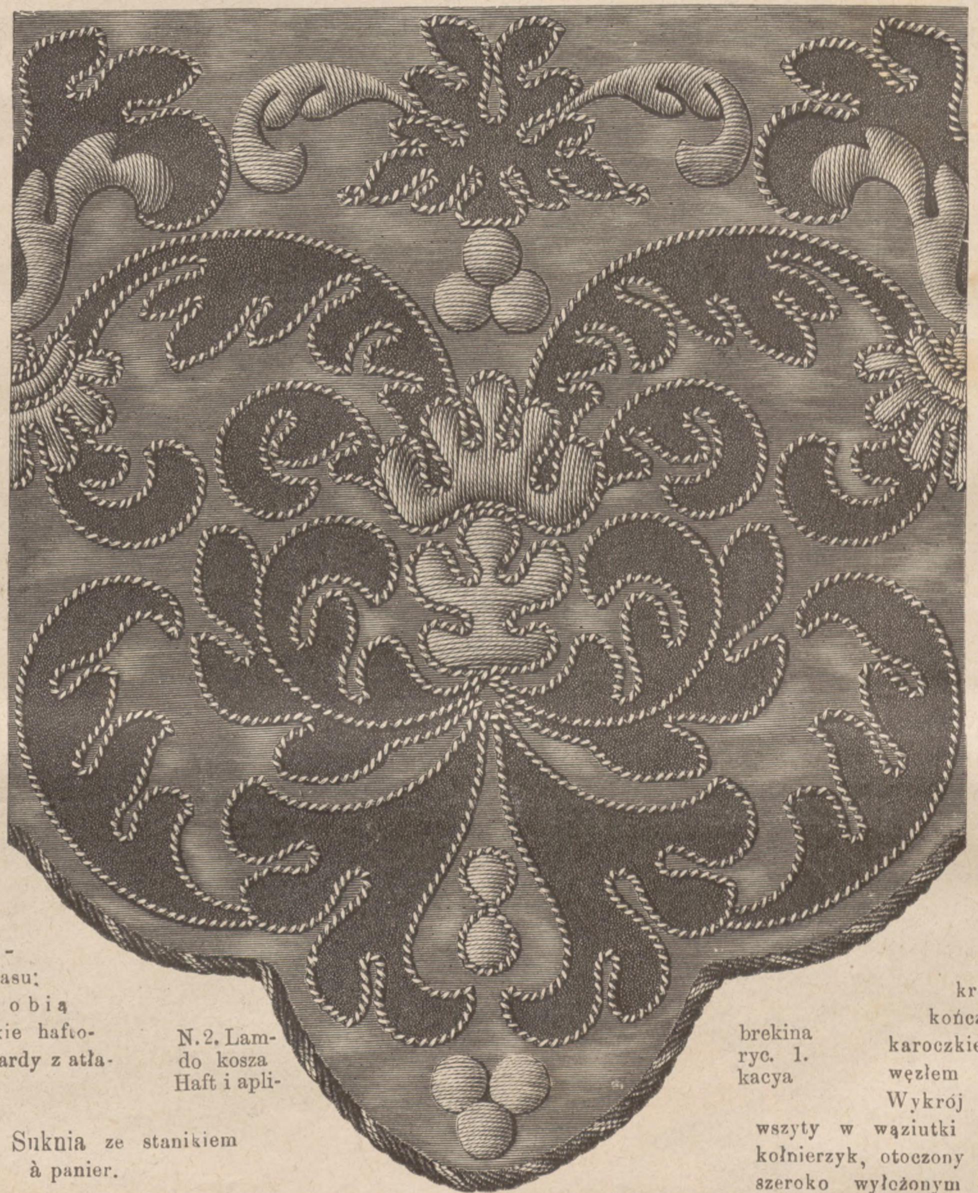
Odpowiednia do lekkiej żałoby, jest uszyta z czarnego atłasu i zdobna popielatemi plisami. Na spódnicy dane trzy plisowane falbany z szerokim popielatym szlakiem; krótkie vetement dopasowywa się podług kroju wskazanego na ryc. 29; przody i pierwsze boki krają się razem w całej długości, plecy zaś łączą się z drugiemi boczkami tylko do miejsca oznaczonego gwiazdką, dalej dopełniają brytem prostym sfałdowanym podług znaków; litera *d* na ryc. 29 wskazuje połowę tego bryta. Wykrój szyi wszyty jest w stojący marszczony kołnierzyk.

N. 7 i 30. Suknia ze stanikiem, z baskiną i tuniką.

Odpowiednia do grubej żałoby uszyta z matowego materyału, ma tunikę upiętą z dwoch prostych brytów z których bryt przedni ścina się z boków podług litery *a* na ryc. 30 i u dołu zakończa szeroką plisą krepową. Stanik z baskiną ma przody i boki objęte krepą a plecy zakończone fałdowanem karoczkiem przepiętym węzłem z krepy. Wykrój szyi wszyty w wązki stojący kołnierzyk, otoczony drugim szeroko wyłożonym kołnierzem.

N. 8—10. Płaszczyk odpowiedni do żałoby.

Ryc. 9—10 przedstawiają przód i plecy płaszczyka z cienkiego czarnego kaszmiru odpowiedniego do żałoby, szczególniej dla pań starszych. Składa on się z przodów i pleców skrojonych podług ryc. 8; rękawy idące wprost od pleców dopełnione są od spodu małemi kawałkami, odznaczonemi liniją prostą na części *b* na ryc. 8. Fałdowanie w dolnej połowie pleców dodane z prostego kawałka 40 cent. szerokiego. Przybranie stanowi koronka hiszpańska lub do grubej żałoby plisy z angielskiej krepy 8 i 12 cent. szerokie.



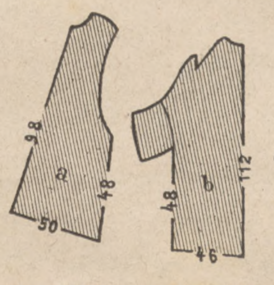
N. 2. Lambrekina do kosza ryc. 1. Haft i aplikacya.



N. 6. Suknia z vêtement do lekkiej żałoby Patrz r. 29 i 39.



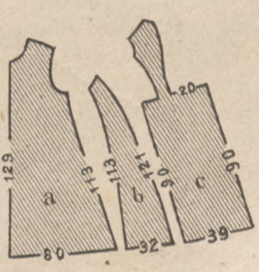
N. 7. Suknia ze stanikiem z baskiną i tuniką. Do żałoby. Patrz ryc. 30.



N. 8. Wskazanie kroju długiego płaszczyka r. 9 i 10.



N. 9—10. Długi płaszczyk odpowiedni do żałoby. Patrz ryc. 8.



N. 11. Wskazanie kroju płaszczyka r. 31 w N. 33.



N. 12. Deseń narożnika do haftu złotem.

N. 14—18. Modele kapeluszy.

N. 14. Kapelusz okrągły przybrany koronką.

Fason z cienkiej czarnej słomki, ma główkę 8 cent. wysoką a rondo płaskie z przodu 11 cent. szerokie, z tyłu znacznie węższe i odwinięte, całe zagarnirowane saską koronką ciemnoponsowego koloru przypinaną metalowemi szpilkami. Z boku wpięte dwie żółtawe róże i ciemne pióro.

N. 15. Kapotka z brukselskiej słomki.

Brzeg przedni objęty bufką aksamitną, nad którą dana girlanda z niezapominajek, przypięta różą podgarnirowaną koronką. Z repsowej wstążki 9 cent. szerokiej dana kokarda z wierzchu główki i końce do wiązania.

N. 16. Kapelusz okrągły zdobny aksamitem i kwiatami.

Główka kapelusza z białej włoskiej słomki przysłonięta jest skosem czarnego aksamitu 7 cent. szerokim, oszytym słomkową torsadą 3 cent. szeroką, z boku przypięty bukiet róż. Rondo od spodu podszyte aksamitem.

N. 17. Kapelusz z wygiętem rondem.

Fason z grubej czarnej słomki, z wysoką, prostą główką ma bardzo szerokie rondo wygięte nad czołem w ząb a la Marie Stuart. Z pod szerokiej aksamitki opasującej główkę wysuwają się strusie pióra zwrócone do przodu i spadające w zagłębienie zęba. Rondo podszyte fałdowanym aksamitem; 4 c. szerokie końce aksamitne wiązane są po za uchem.



N. 16. Kapelusz okrągły ubrany aksamitem i kwiatami.

N. 14. Kapelusz przybrany koronką.
N. 17. Kapelusz okrągły z wygiętem rondem.

N. 15. Kapotka zdobna girlandą kwiatów.
N. 18. Kapelusz przybrany muślinem i koronką.

N. 19—20. Uczesanie greckie i kołnierz z zapięciem szmuklerskiem.

N. 18. Kapelusz zdobny muślinem.

Skos indyjskiego muślinu 10 cent. szeroki, oszyty z brzegów koronką tejże szerokości, upięty jest w ten sposób, iż przysłania zupełnie fason z grubej białej słomki. Rondko od spodu podszyte ponsowym aksamitem.

N. 19—20. Uczesanie greckie i kołnierz z zapięciem szmuklerskiem.

Ulubione od dawna loczki kręcone nad czołem przy greckiem uczesaniu dane są dość długie i sute. Część włosów odebrana do tyłu wiąże się nie bardzo nizko i dzieli w trzy promienie, dwa z nich leko ztapirowane, upięte są w kokardę, a trzeci promień stanowi węzeł, końce zaś spadają w loczki. Kołnierz z tej sukni materyi ogarnirowany bardzo szeroką hiszpańską koronką, z przodu nie dochodzi brzegami i złączony jest zapięciem szmuklerskiem z jedwabnego sznura z kwastami.



N. 13. Deseń do haftu złotem i jedwabiem.

N. 21—22. Chusteczka koronkowa i zarzutka grenadynowa.

Chusteczka uszyta jest z gazy białej jedwabnej w pasy i z blondyny 7 c. szerokiej; stanowi ją 4 c. szeroki, 56 c. długi skos gazy, złożony we dwoje wszyty w pasek 43 cent. długi, tak aby w końcach zostawały kawałki po 6 cent. Żabot przedni upięty z kawałka gazy 10 c. szerokiego, 24 długiego, oszytego koronką. Dwie szpilki metalowe służą do przypięcia chusteczki. Zarzutkę stanowi szalik z czarnej adamaszkowej grenadyny przerabianej w sznelowe kwiaty i zakończonej sznelową frendzlą, liczący 2 metry 10 cent. długości a 60 cent. szerokości.

N. 26. Suknia zdobna haftem.

Odrobiona z blado niebieskiej satynki, ma przód sukni naszyty żółtawym haftem; maleńka pelerynka na staniku i wykładane mankiety są z takiegoż haftu.

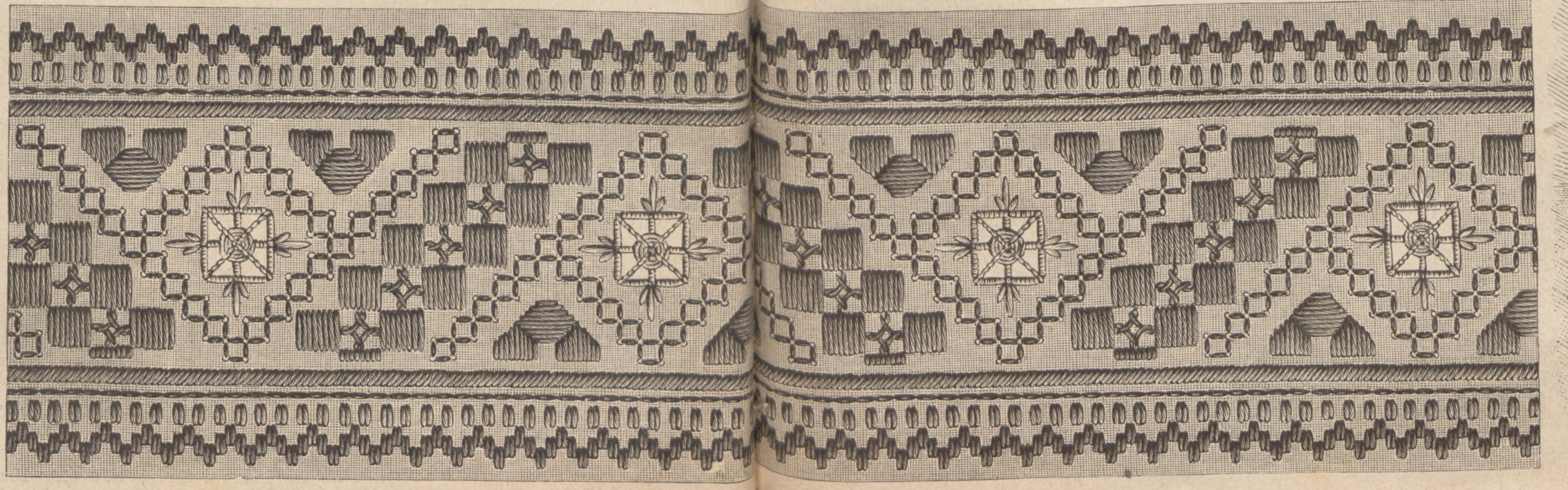
N. 34. Kapelusz okrągły.

Fason ze świecącej słomki, z główką



N. 21—22. Chusteczka z gazy i koronki i zarzutka z deseniowej grenadyny.

N. 23. Kołnierz batystowy z falbanką haftowaną dla małej dziewczynki.

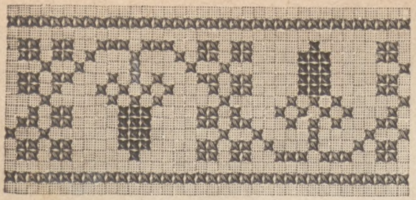


N. 24. Szlak gobelinowy i kratki.



N. 25. Sukienka dla rocznego dziecka. Patrz ryc. 8 w N-rze 33.

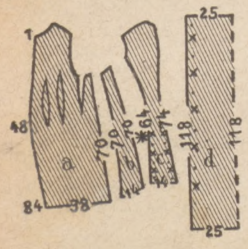
N. 26. Suknia zdobna haftem.



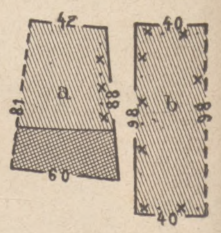
N. 27. Szlaczek krzyżykowy.



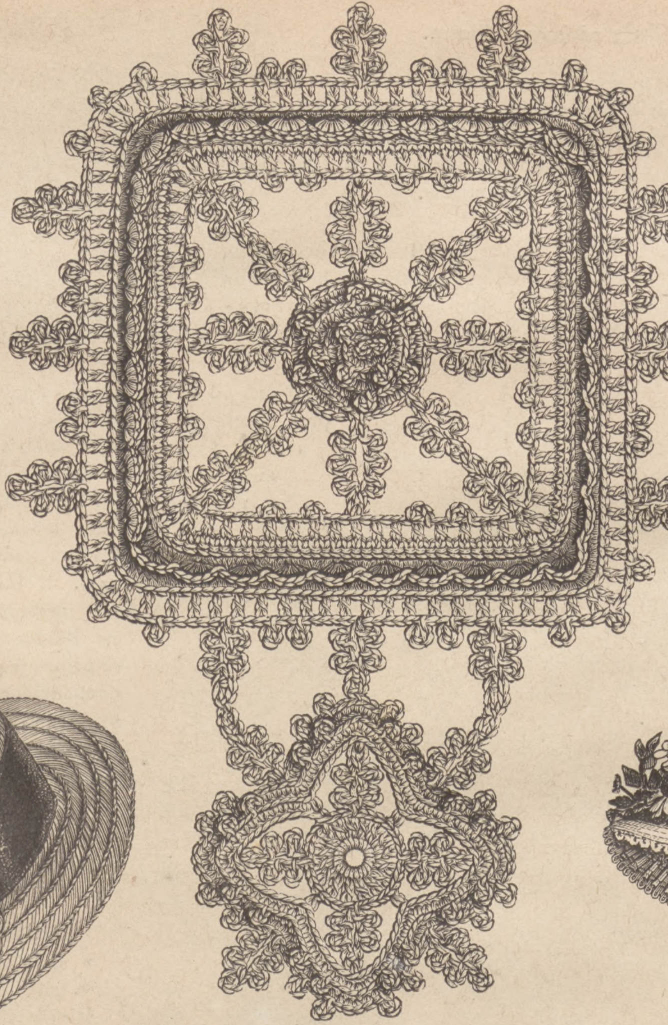
N. 28. Szlaczek ściegiem stębnowanym.



N. 29. Wskazanie kroju vêtement do sukni ryc. 6 i 39.



N. 30. Wskazanie kroju tuniki do sukni ryc. 7.



N. 31. Kwadrat i gwiazdka szydełkowa do serwety ryc. 33.

8 cent. wysoką, opasany jest szeroką aksamitką związaną w długą kokardę, z boku przypięte dwa strusie pióra spadające do tyłu.

N. 35. Kapelusz z aksamitną główką.

Ciemno zielony aksamit pokrywa główkę kapelusza i służy do podszycia rondka, zakończonego od spodu torsadą złotą 3 cent. szeroką. Szalik z jedwabnej krepy 25 cent. szeroki, opasuje główkę, z boku przytrzymany jest bukietem polnych kwiatów a końce spadające z tyłu związane są pod brodę w sutą kokardę.

N. 36. Kasetka zdobna mozajką z szyszek.

Robotę z szyszek i rozmaitych nasion już od lat kilku opisujemy w Tygodniku, dziś więc podaliśmy tylko nowy ładny jej wzór, a szczegółów już nie powtarzamy.

N. 37. Sukienka princesse dla panienki.

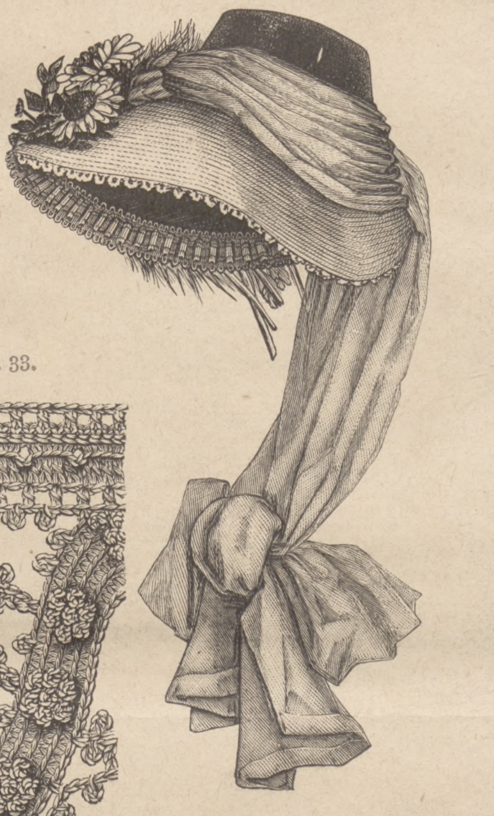
Przody i boki krają się w całej długości z niebieskiej satynki, plecy zaś przykrajane tylko na 58 c. długości dopełnione są prostym brytem 60 c. szerokim przyszytym do boków. Przybranie złożone z dwóch plisowanych falbanek z haftu kolorowego 5 c. szerokiego i z wolantu 10 cent. szerokiego kilkakrotnie przemarszczonego w górze. Marszczenie powtarza się na kieszonkach i u rękawów.

N. 38. Sukienka z marszczonym plastronem.

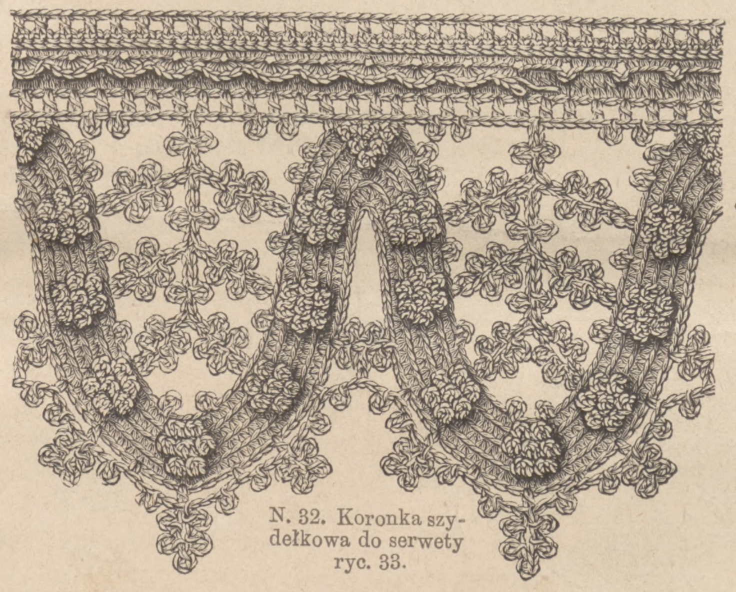
Składa się ze spódniczki naszytej dwoma plisowanemi falbankami po 21 i 15 c. szerokości i z vêtement z przemarszczonym plastronem, przypiętym z boków na guziczki; przemarszczenie dane pod szyją na wcięciu stanu i na 10 cent. od dołu. Haft 5 cent. szeroki zakończa brzegi vêtement, kołnierza i mankietów marszczonych.



N. 34. Kapelusz okrągły przybrany piórami i wstążką.



N. 35. Kapelusz z główką aksamitną.



N. 32. Koronka szydełkowa do serwety ryc. 33.



N. 37. Sukienka princesse dla panienki.



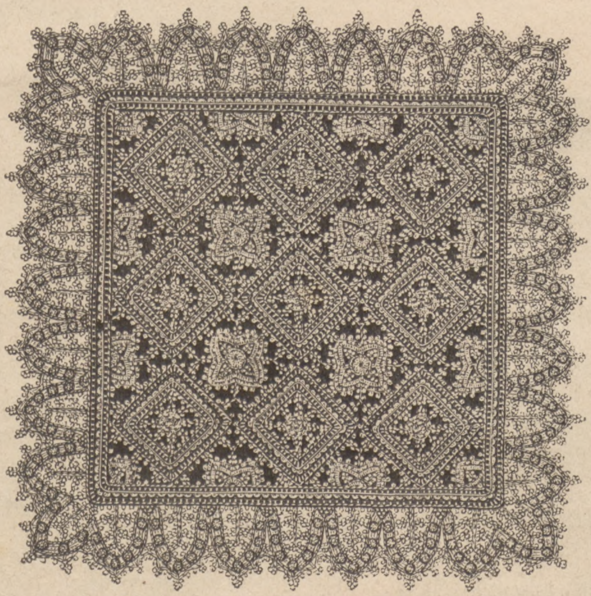
N. 36. Kasetka ozdobiona mozajką z szyszek i nasion.



N. 38. Sukienka z marszczonym plastronem dla panienki.



N. 39. Suknia z vêtement. Patrz r. 6. i 29.



N. 33. Serweta szydełkowa. Patrz ryc. 31 i 32.



N. 40. Suknia zdobna haftem. Patrz ryc. 34 w N. 33.